



SERIA KIESZONKOWA

PATRICK MODIANO

**PRZEJECHAŁ
CYRK**

PAŃSTWOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY



Modiano

Przejechał
cyrk



SERIA KIESZONKOWA



PATRICK MODIANO

**PRZEJECHAŁ
CYRK**

Przełożyła
Katarzyna
Skawina

Państwowy
Instytut
Wydawniczy

Tytuł oryginału
Un cirque passe

Opracowanie graficzne serii
Teresa Kawińska

Na okładce ilustracja
Waldemara Świerzego

© Editions Gallimard, 1992

© Copyright for the Polish edition by
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996 r.

Wydanie pierwsze

Ark. wyd. 4,8; Ark. druk. 8

Skład wykonał: Fotoskład EWA, Warszawa, ul. Nowy Świat 41

Druk i oprawa: Wojskowa Drukarnia w Gdyni, ul. Św. Piotra 12
tel. (058) 20-15-55 fax (058) 61-55-63

ISBN 83-06-02560-1

Moim rodzicom

Miałem wtedy osiemnaście lat, a człowiek, którego rysów twarzy nie pamiętam, spisywał moje dane, dotyczące stanu cywilnego, adresu oraz domniego statusu studenta, które stopniowo podawałem. Pytał, jak spędzam wolny czas.

Wahałem się z odpowiedzią:

– Chodzę do kina i do księgarni.

– Chyba nie tylko do kina i księgarni pan chodzi.

Wymienił nazwę kawiarni. I choć uparcie powtarzałem, że nigdy w niej nie byłem, nie uwierzył mi. Wreszcie wystukał na maszynie:

„Wolny czas spędzam w kinach i księgarniach. Nigdy nie byłem w kawiarni de la Tournelle, mieszczącej się przy ulicy o tej samej nazwie, pod numerem 61.”

Znów zaczął wypytywać o mój rozkład zajęć. Pytał również o moich rodziców. Tak, uczęszczałem na wykłady z literatury. Niewiele ryzykowałem, serwując mu to kłamstwo, bo istotnie zapisałem się na wydział humanistyczny, choć jedynie po to, by odroczyć służbę wojskową. Co zaś do moich rodziców, to wyjechali oboje za granicę

i nie wiem, kiedy wrócą, jeśli w ogóle zamierzają wrócić.

Wymienił nazwiska jakiegoś mężczyzny i jakiejś kobiety i spytał, czy ich znam. Odpowiedziałem, że nie znam. Prosił, bym się dobrze zastanowił, bo konsekwencje mojego kłamstwa mogą być bardzo poważne. Groźba została wypowiedziana tonem chłodnym i beznamiętnym. Nie, naprawdę nie znałem tych osób. Zapisał moją odpowiedź na maszynie, po czym podsunął mi kartkę z dopiskiem:

„Zapoznałem się z treścią i podtrzymuję zeznanie.”

Nie czytając zeznania, podpisałem je sięgnąwszy po pierwszy lepszy długopis, jaki znalazłem na biurku. Przed wyjściem zapytałem jeszcze, czemu zawdzięczam to przesłuchanie.

– Pańskie nazwisko figurowało w czyimś notesie.

Nie powiedział mi w czym.

– Wezwiemy pana w razie potrzeby.

Odprowadził mnie do drzwi. Na korytarzu na ławce obitej skórą siedziała młoda dziewczyna, może dwudziestodwuletnia.

– Teraz pani kolej – powiedział.

Wstała. Wymieniliśmy spojrzenia. Przez szparę w nie domkniętych drzwiach widziałem, jak siada na tym samym miejscu, które ja opuściłem przed chwilą.

*

Była mniej więcej piąta po południu, gdy znalazłem się na bulwarze. Szedłem w kierunku mostu Saint-Michel z myślą, że zaczekam na tę dziewczynę, aż wyjdzie z przesłuchania. Nie mogłem jednak tkwić jak kołek przed wejściem do gmachu policji. Postanowiłem więc, że zaczekam w ka-

wiarni na rogu boulevard du Palais. Nie przyszło mi nawet do głowy, że przecież mogła pójść w kierunku przeciwnym, w stronę Pont-Neuf.

Siedziałem tuż za szybą wychodzącą na taras, ze wzrokiem utkwionym w boulevard des Orfèvres. Przesłuchiowano ją znacznie dłużej niż mnie. Było już ciemno, gdy ujrzałem, że zmierza w kierunku kawiarni. Gdy znalazła się na wysokości tarasu, zastukałem w szybę. Zdziwiona, obrzuciła mnie spojrzeniem od stóp do głów, po czym weszła do środka. Przysiadła się do stolika, jak gdybyśmy znali się od dawna i byli ze sobą umówieni. Odezwała się pierwsza:

- Czy zadawali panu dużo pytań?
- Moje nazwisko figurowało w którymś notesie.
- I nie wie pan w którym?
- Nie chcieli mi powiedzieć, ale może pani będzie mnie mogła poinformować.

Zmarszczyła brwi.

- Poinformować o czym?
- Sądziłem, że pani nazwisko także figuruje w tym notesie i że przesłuchiwali panią w tej samej sprawie.

- Nie. Miałam tylko złożyć zeznanie.

Wydawała się zamyślona. Odniosłem wrażenie, że zapomniała o mojej obecności. Nie odzywałem się słowem. Uśmiechnęła się do mnie i spytała, ile mam lat. Odpowiedziałem, że dwadzieścia jeden. Dodałem sobie trzy, bo w owym czasie był to wiek, w którym osiągało się dojrzałość.

- Pracuje pan?
- Jestem zatrudniony w księgarni na prowizji od sprzedaży – strzeliłem na chybił trafił, starając się, by moje słowa zabrzmiały przekonująco. Przyglądała mi się uważnie, zastanawiając się pewnie, czy może mi zaufać.

- Czy wyświadczyłby mi pan pewną przysługę?
- spytała.

Na place du Châtelet chciała wsiąść do metra. Była godzina szczytu. Staliśmy ściśnięci przy samych drzwiach. Na każdej stacji byliśmy wypychani na zewnątrz przez wysiadających. Wciskaliśmy się wraz z tłumem nowych pasażerów. Opierając głowę na moim ramieniu, uśmiechnęła się i powiedziała: „W tym tłumie nikt nie mógłby nas odnaleźć.”

Na stacji Gare du Nord zostaliśmy uniesieni przez tłum pasażerów zmierzających w kierunku podmiejskich pociągów. Przeszliśmy przez halę dworcową, podążając w stronę przechowalni bagażu. Z automatycznej skrytki wyjęła czarną skórzaną walizkę, którą mi wręczyła. Walizka wydawała mi się dość ciężka i pomyślałem sobie, że na pewno nie zawiera ubrań. Pojechaliśmy tą samą linią metra, tyle że w przeciwnym kierunku. Tym razem mieliśmy miejsca siedzące. Wysiedliśmy na stacji Cité.

U wylotu Pont-Neuf czekaliśmy na zmianę świateł. Byłem coraz bardziej niespokojny. Zastanawiałem się, jakie przyjęcie zgotuje nam Grabley. Może powinienem powiedzieć jej o Grableyu, żeby nie była zaskoczona jego obecnością?

Szliśmy wzdłuż gmachu Mennicy. Zegar na wieży Instytutu właśnie wybił dziewiątą.

– Czy jest pan pewien, że moja obecność u pana nie będzie nikomu przeszkadzać? – zapytała.

– Nie, nikomu.

W oknach wychodzących na bulwar było ciemno. Czyżby Grabley zamknął się w swoim pokoju od podwórza? Zazwyczaj parkował samochód pośrodku niewielkiego placu wciśniętego między Mennicę a Instytut. Samochodu nie było.

Otworzyłem drzwi do mieszkania na czwartym piętrze. Przeszliśmy korytarzem do pokoju, który

był gabinetem mojego ojca. Pomieszczenie oświetlała naga żarówka zwisająca u sufitu. Żadnego mebla prócz starej kanapy z obiciem w ciemnoczerwonej jodełce. Postawiłem walizkę obok kanapy. Dziewczyna podeszła do okna.

– Ma pan stąd piękny widok...

Na lewo widać było jeden koniec Pont des Arts i Luwr, a naprzeciwko sam cypel wyspy Cité i ogród Vert-Galant.

Usiedliśmy na kanapie. Dziewczyna rozglądała się wokół. Sprawiała wrażenie zdziwionej panującą pustką.

– Jest pan w trakcie przeprowadzki?

Powiedziałem jej, że musimy się niestety stąd wyprowadzić za miesiąc i że mój ojciec wyjechał do Szwajcarii, by tam dokonać żywota.

– Dlaczego właśnie do Szwajcarii?

Wyjaśnianie jej wszystkiego zajęłoby zbyt wiele czasu, toteż wzruszyłem jedynie ramionami. Grabley mógł wrócić lada chwila. Jak zareaguje na widok dziewczyny z walizką? Obawiałem się, że mógłby chcieć zatelefonować do ojca do Szwajcarii, a ten, w ostatnim odruchu ojcowskiej godności, odegra przede mną szlachetnego rodzica i będzie mówił o moich studiach oraz zmarnowanej przyszłości, co i tak na nic się nie zda.

– Jestem zmęczona...

Zaproponowałem, żeby wyciągnęła się na kanapie. Nie zdjęła prochowca. Przypomniałem sobie, że ogrzewanie nie działa.

– Może jest pani głodna? Poszukam czegoś w kuchni...

Siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami.

– Nie trzeba. Może tylko coś do picia...

W korytarzu nie było światła. Przez oszklone drzwi sączył się do kuchni blady odbłask sprawiający wrażenie księżycowej poświaty. Grabley zo-

stawił w kuchni zapaloną plafonierę. Przed dawną windą kredensową stała deska do prasowania, na której zobaczyłem jego spodnie od garnituru à la księżę Walii. Grabley sam prasował swoje ubrania. Na stoliku brydżowym, przy którym jadalismy czasami wspólne śniadania, leżało puste opakowanie po jogurcie, skórka banana i torebka neski. Jadł więc tutaj kolację. Znalazłem dwa jogurty, plasterek wędzonego łososia, jakieś owoce i butelkę whisky, opróżnioną w trzech czwartych. Po powrocie do pokoju zastałem dziewczynę czytającą jedno z tych pism, które Grabley gromadził od wielu tygodni na kominku i do których czuł szczególny pociąg ze względu na ich „śmiałość”, jak to określał.

Postawiłem tacę na podłodze. Odłożyła otwarte pismo, w którym zauważyłem czarno-białe zdjęcie nagiej kobiety sfotografowanej od tyłu. Włosy związane w koński ogon, lewa noga wyprostowana, prawa zgięta, kolanem wsparta o brzeg łóżka.

– Ma pan zamiłowania do dość szczególnej lektury...

– To nie ja... to przyjaciel mojego ojca...

Gryzła jabłko, popijając je whisky, którą sama sobie nalała.

– Co pani nakładła do tej walizki? – spytałem.

– Nic szczególnego... rzeczy osobiste...

– Jest strasznie ciężka. Sądziłem, że zawiera sztaby złota.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem. Wyjaśniła, że mieszkała pod Paryżem, w okolicach Saint-Leu-la-Forêt, i że wczoraj wieczorem właściciele nieoczekiwanie wrócili do domu, a że nie bardzo się ze sobą zgadzają, wołała się wynieść. Jutro zamierza wynająć pokój w hotelu i poszukać jakiegoś stałego lokum.

– Może pani tu zostać, jak długo zechce.

Byłem pewien, że gdy minie pierwsze zaskoczenie, Grabley nie będzie miał nic przeciwko temu. Jeśli chodzi o opinię mojego ojca, to przestała mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

– Pewnie jest pani śpiąca?

Zaproponowałem, że odstąpię jej sypialnię na górze, a sam położę się na kanapie w gabinecie.

Szedłem przodem z walizką w ręce. Wąskie schodki prowadziły na piąte piętro. Sypialnia podobnie jak gabinet była niemal zupełnie pusta. Stało w niej jedynie łóżko przysunięte do ściany. Nie było ani nocnego stolika, ani lampki. Zapaliłem dwie jarzeniówki w oszklonych wnękach po obu stronach kominka, gdzie mój ojciec trzymał kolekcję figur szachowych. Figur nie było, podobnie jak chińskiej szafki i kopii Monticellego, po którym został jedynie ślad na jasnoniebieskiej tapecie. Wszystkie te przedmioty powierzyłem antykwariuszowi, niejakiemu Dell'Aversano, aby postarał się je sprzedać.

– Czy to pańska sypialnia? – spytała.

– Tak.

Walizkę postawiłem przed kominkiem. Dziewczyna podeszła do okna, jak przedtem w gabinecie.

– Jeśli popatrzy pani na prawo, dostrzeże pani pomnik Henryka IV i wieżę Saint-Jacques.

Przelotnym spojrzeniem objęła regał na książki, umieszczony między dwoma oknami. Potem wyciągnęła się na łóżku i nonszalanckim ruchem strząsnęła z nóg pantofle. Zapytała, gdzie będą spał.

– Na dole, na kanapie.

– Proszę zostać – powiedziała – mnie to nie przeszkadza.

· Nie zdjęła z siebie prochowca. Zgasilem jarze-
niówki i wyciągnąłem się obok niej.

– Nie sądzi pan, że jest chłodno?

Przysunęła się i delikatnie położyła głowę na
moim ramieniu. Odblaski i cienie tańczyły po
ścianach i suficie, układając się w kształt kraty.

– Co to jest? – zapytała.

– To przepływający *bateau-mouche*.

Poderwałem się z łóżka na równe nogi. Trzasnęły drzwi wejściowe.

Leżała obok mnie, naga pod swoim prochowcem. Była siódma rano. Usłyszałem kroki Grableya. Telefonował z gabinetu. Jego głos przybierał coraz wyższe tony, tak jakby się z kimś kłócił. Po pewnym czasie opuścił gabinet i poszedł do swojego pokoju.

Obudziła się i zapytała o godzinę. Powiedziała, że musi już iść. Zostawiła swoje rzeczy w Saint-Leu-la-Forêt i powinna jak najszybciej je stamtąd zabrać.

Zaproponowałem jej śniadanie. Zostało jeszcze kilka torebek neski i paczka biszkoptów Choco BN, które Grabley systematycznie kupował. Gdy wróciłem z tacą na piąte piętro, była w łazience. Wyszła ubrana w czarną spódnicę i sweter. Umówiliśmy się, że zadzwoni wczesnym popołudniem. Nie miała na czym zanotować numeru telefonu, sięgnąłem więc po jedną z książek, oderwałem wyklejkę i zapisałem na niej swoje nazwisko, adres i telefon DANTON 55-61. Złożyła kartkę we czworo i wsadziła do kieszeni prochowca. Potem delikatnie musnęła ustami moje wargi i szepnęła,

że mi dziękuje i że chciałaby się wkrótce znów ze mną zobaczyć.

Szła wzdłuż bulwaru w kierunku Pont-des-Arts. Stałem przy oknie, wypatrując na moście jej sylwetki.

*

Umieściłem walizkę w komórce nad schodami, płasko na podłodze. Była zamknięta na kluczyk. Wróciłem do łóżka i wdychałem zapach jej perfum w zagłębieniu poduszki. W końcu mi powie, dlaczego ją wczoraj przesłuchiowano. Usiłowałem przypomnieć sobie nazwiska tych dwóch osób, o których wspominał policjant pytając, czy je znam. Jedno brzmiało jak „Beaufort” albo „Bousquet”. W czyim notesie natrafił na moje nazwisko? A może chciał się dowiedzieć czegoś o moim ojcu? Pytał, do jakiego kraju się udał.

Powiedziałem, chcąc zmylić ślady:

– Do Belgii.

Tydzień wcześniej odprowadziłem ojca na Gare de Lyon. Miał na sobie swój stary płaszcz w kolorze granatowym, a skórzana torba stanowiła cały jego bagaż. Przyszliśmy na dworzec sporo przed czasem i czekaliśmy na pociąg do Genewy w dużej sali restauracyjnej na pierwszym piętrze, skąd rozciągał się widok na halę dworcową i perony. Nie wiem, czy to światło zachodzącego słońca, złocenia na suficie, czy blask żyrandoli sprawił, że ojciec wydał mi się nagle postarzały i bardzo zmęczony, jak ktoś, kto igrając z losem od zbyt dawna, postanawia wreszcie się poddać.

Jedyna książka, jaką zabrał ze sobą w tę podróż, nosiła tytuł *Polowanie z nagonką*. Od dawna mi ją polecał, jako że autor wspomina w niej o mieszkaniu, które zajmował dwadzieścia lat wcześniej. Cóż za dziwna zbieżność... Czyż życie mojego ojca

nie przypominało czasami owego polowania z nagonką, w którym on był tropioną zwierzyną? Ale jak dotąd zawsze udawało mu się jakoś zgubić pościg.

Siedzieliśmy przy kawie. Palił papierosa, trzymając go w kąciku ust. Mówił o moich „studiach” i mojej przyszłości. Jego zdaniem poświęcenie się pisaniu powieści, co miałem zamiar uczynić, było niewątpliwie interesującym pomysłem, ale zdobycie paru „dyplomów” wydawało się daleko bardziej praktyczne. Słuchałem w milczeniu. Słowa „dyplomy”, „ustabilizowana sytuacja”, „zawód” nabierały w jego ustach szczególnego brzmienia. Wymawiał je z szacunkiem i pewną dozą nostalgii. Po chwili zamilkł, wypuścił chmurkę dymu i wzruszył ramionami. Nie zamieniliśmy więcej ani słowa aż do chwili, gdy po wejściu do pociągu wychylił się przez opuszczoną szybę. Stałem na peronie.

– Zamieszka z tobą Grabley. A później coś zdecydujemy. Trzeba będzie wynająć inne mieszkanie.

Powiedział to jakoś bez przekonania. Pociąg ruszył, a ja odniosłem wrażenie, że tę oddalającą się twarz i granatowy płaszcz oglądam po raz ostatni.

*

Około dziewiątej zszedłem na czwarte piętro. Słyszałem kroki Grableya. Siedział na kanapie w gabinecie w swoim szlafroku w szkocką kratę. Obok stała taca, a na niej filizanka herbaty i biszkopt Choco BN. Grabley był nie ogolony i miał ściągnięte rysy.

– Dzień dobry, Obligado...

To przezwisko zawdzięczałem przyjacielskiej sprzeczce, do jakiej doszło kiedyś między nami. Pewnego wieczoru umówiliśmy się przed kinem na

avenue de la Grande-Armée. Upierał się, że to obok stacji metra Obligado. Tyle że obecnie nazywała się Argentine, czego w żaden sposób nie chciał przyjąć do wiadomości. Założyliśmy się więc i ja ten zakład wygrałem.

– Spałem dwie godziny tej nocy. Robiłem „obchód”.

Mówiąc to muskał delikatnie blond wąsy i mrużył oczy.

– Tą samą trasą co zwykle?

– Tą samą.

„Obchód” zaczynał się niezmiennie około ósmej wieczorem w kawiarni Deux Magots, gdzie wypijał aperitif. Potem szedł prawym brzegiem Sekwany na plac Pigalle, gdzie bawił aż do rana.

– A ty, Obligado?

– Gościłem u siebie znajomą.

– Czy ojciec wie o tym?

– Nie.

– Powinieneś zapytać go, co o tym sądzi. Będę z nim w kontakcie telefonicznym.

Starał się za wszelką cenę naśladować poważny i zdecydowany ton mojego odpowiedzialnego ojca, ale wychodziło mu to coraz bardziej fałszywie.

– A co to za pannica?

Przybrał ten sam słodziutki ton, jakim w każdą niedzielę miał zwyczaj proponować mi, bym mu towarzyszył na mszę świętą.

– Przede wszystkim to nie jest żadna pannica.

– Ładna?

Jego zarozumiały i próżny uśmiezek przywodził na myśl komiwojażera pyszniącego się swoimi przygodami miłosnymi nad kuflem piwa w bufecie dworcowym jakiejś zapadłej dziury.

– Moja też była całkiem niezła.

Jego ton stawał się coraz bardziej pewny siebie, jakby pragnął ze mną rywalizować. Nie pamiętam

dobrze, co wówczas odczuwałem w obecności tego człowieka siedzącego w gabinecie przywołującym skojarzenia z nagłą przeprowadzką, zastawieniem mebli i obrazów w lombardzie lub zajęciem ruchomości. Grabley był lustrzanym odbiciem mojego ojca, jego totumfackim. Poznali się za młodu na plaży nad Atlantykiem. Ojciec zdołał jakoś sprowadzić na złą drogę tego typowego francuskiego mieszczaucha i od trzydziestu lat Grabley żył w jego cieniu. Jedynym przyzwyczajeniem, jakie zdołał zachować z dzieciństwa i wynieść ze starannego wychowania, było niedzielne uczestnictwo w mszy świętej.

– Przedstawisz mi tę dziewczynę?

Mrugnął porozumiewawczo.

– Moglibyśmy zabawić się razem, jeśli chcesz...

Lubię młode parki.

Wyobraziłem nas sobie, ją i mnie w samochodzie Grableya zmierzającym na drugi brzeg Sekwany, w kierunku placu Pigalle. Młoda parka. Pewnego wieczoru dotrzymywałem mu towarzystwa w kawiarni Deux Magots, zanim udał się w swój zwykły „obchód”. Usiedliśmy przy stoliku na tarasie. Byłem zdumiony widząc, jak Grabley pozdrawia w przejściu młodą parę. Nie mieli więcej niż po dwadzieścia parę lat: ona była pełną wdzięku blondynką, on przesadnie eleganckim brunetem. Podszedł nawet do ich stolika, podczas gdy ja obserwowałem całą scenę z daleka. Ich wiek i sposób bycia tworzyły tak nieprawdopodobny kontrast ze staroświeckimi manierami Grableya, że zadawałem sobie pytanie, skąd ta znajomość. Mężczyzna zdawał się rozbawiony uwagami Grableya, kobieta natomiast zachowywała pewną rezerwę. Żegnając się z nimi, Grabley uściśnił dłoń mężczyzny, a kobietę pozdrowił pełnym rewerencji skinieniem głowy. Gdy wychodziliśmy, wy-

mienił ich nazwiska. Dziś już nie pamiętam, jak się nazywali. Potem powiedział mi, że ów „młody człowiek” był „nader korzystną znajomością”, jaką zawarł podczas swoich „obchodów” na Pigalle.

– Wydajesz się zamyślony, Obligado... Czyżbyś się zakochał?

Podniósł się z kanapy i stał przede mną z rękami w kieszeniach szlafroka.

– Będę zajęty przez cały dzień. Muszę posegregować i przenieść wszystkie papiery spod numeru 73.

Znajdowało się tam biuro, które wynajmował mój ojciec przy boulevard Hausmann. Często zaglądałem tam popołudniami. Był to wysoki narożny pokój. Światło wpadało do środka przez cztery balkonowe okna wychodzące na bulwar i rue de l'Arcade. Szafki wzdłuż ścian i masywny stół, na którym stały kałamarze, suszki i bibularz. Nad czym on tam pracował? Zawsze zastawałem go przy telefonie. Po trzydziestu latach znalazłem przypadkiem kopertę z wydrukowaną na grzbiecie nazwą firmy: Spółka Cywilna Badań nad Wzbogacaniem Rudy, 73, boulevard Hausmann, Paryż.

– Możesz po mnie wpaść razem ze swoją znajomą. Zjemy wspólnie kolację...

– Nie sądzę, by miała czas dziś wieczorem.

Wydawał się rozczarowany. Zapalił papierosa.

– Tak czy owak zatelefonujcie i powiedzcie mi, co zamierzacie... Miłoby mi było ją poznać...

Pomyślałem, że muszę go trzymać na dystans, w przeciwnym razie możemy go mieć na karku przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale przecież ja nigdy nie potrafiłem powiedzieć „nie”.

Siedziałem w gabinecie i czytałem, czekając na jej telefon. Powiedziała: wczesnym popołudniem. Postawiłem aparat na kanapie. Około trzeciej zacząłem odczuwać lekki niepokój, który stopniowo przerodził się w zdenerwowanie. Obawiałem się, że nie zadzwoni w ogóle. Na próżno usiłowałem zatopić się w lekturze. Wreszcie telefon zadzwonił.

Nie odebrała jeszcze swoich rzeczy z Saint-Leu-la-Forêt, więc umówiliśmy się o szóstej w kawiarni Tournon.

Miałem czas, żeby zajrzeć do Dell'Aversana i dowiedzieć się, za ile zamierza kupić ode mnie kopię Monticellego, chińską szafkę i figury szachowe, które mu powierzyłem.

Przeszedłem przez Pont-Neuf i zacząłem iść wzdłuż bulwarów. Antykwariat mieścił się przy rue François-Miron, tuż za Hôtel de Ville. Dell'Aversana poznałem dwa miesiące wcześniej, gdy przebierałem wśród tanich książek wystawionych przed sklepem. Był brunetem, lat około czterdziestu, o rzymskich rysach twarzy i jasnych oczach. Mówił po francusku z ledwo wyczuwalnym obcym akcentem. Wyjaśnił mi, że zajmuje się handlem

starociami we Włoszech i we Francji, ale nie zadawałem mu zbyt wielu pytań na ten temat.

Oczekiwał mnie. Poszliśmy do kawiarni w pobliżu kościoła Saint-Gervais, gdzie wręczył mi kopertę oznajmiając, że kupił ode mnie wszystko razem za siedem tysięcy pięćset franków. Podziękowałem mu. Ta suma pozwoli mi utrzymać się przez dłuższy czas. Należało przecież opuścić mieszkanie i dalej radzić sobie jakoś samemu. Jakby odgadując moje myśli, dell'Aversano zapytał, co zamierzam robić w przyszłości.

– Bo wie pan, moja propozycja jest nadal aktualna...

Uśmiechnął się. Podczas mojej ostatniej wizyty zaproponował, że może mi załatwić pracę w Rzymie, u znajomego antykwariusza, który potrzebuje sprzedawcy władającego językiem francuskim.

– Zastanowił się pan? Podjąłby się pan pracy w Rzymie?

Odpowiedziałem, że tak. W końcu nic mnie już w Paryżu nie trzymało. Byłem przekonany, że Rzym by mi odpowiadał. Zaczęłbym zupełnie nowe życie. Zamierzałem postarać się o plan tego miasta, studiować go każdego dnia, nauczyć się nazw wszystkich ulic i placów.

– Czy dobrze zna pan Rzym? – zapytałem.

– Tak. Urodziłem się tam.

Przychodziłbym do niego od czasu do czasu z planem miasta i pytałbym o poszczególne dzielnice. Dzięki temu po przyjeździe do Rzymu nie czułbym się tam obco.

Czy zgodziłaby się ze mną wyjechać? Zamierzałem porozmawiać z nią o tym jeszcze tego samego wieczoru. Może rozwiązałyby to i jej problemy.

– Mieszkał pan w Rzymie?

– Oczywiście – odparł. – Przez dwadzieścia pięć lat.

– Na jakiej ulicy?

– Urodziłem się w dzielnicy San Lorenzo, a ostatnio mieszkałem przy via Euclide.

Chciałem zanotować nazwę dzielnicy i ulicy, ale w końcu postanowiłem je zapamiętać i poszukać na planie.

– Mógłby pan wyjechać w przyszłym miesiącu – zaproponował. – Mój znajomy znajdzie dla pana mieszkanie. Nie sądzę, by ta praca była dla pana uciążliwa. Chodzi o francuskie książki.

Zaciągnął się głęboko dymem z papierosa i wdzięcznym gestem, jak gdyby w zwolnionym tempie, podniósł do ust filiżankę kawy. Opowiedział mi, jak to w Rzymie, za czasów swojej młodości, siadywał z przyjaciółmi na tarasie kawiarni. Robili zakłady, kto wolniej wypije oranżadę. Często trwało to przez całe popołudnie.

Na spotkanie przyszedłem przed czasem i przechadzałem się po alejkach Ogrodu Luksemburskiego. Po raz pierwszy poczułem, że zbliża się zima. Do tej pory mieliśmy bardzo słoneczną jesień. Gdy opuszczałem ogród, zaczęło się ściemniać i dozorczy pomału zamykali bramy.

Wybrałem miejsce w głębi sali. Jeszcze rok wcześniej kawiarnia Tournon stanowiła dla mnie azyl. Uczęszczałem wówczas do liceum Henryka IV, do biblioteki miejskiej w szóstej dzielnicy oraz do kina Bonaparte. Lubiłem tam przesiadywać i obserwować stałego bywalca kawiarni, pisarza Chestera Himesa w otoczeniu muzyków jazzowych i przystojnych blondynek. W Tournon zjawiłem się około szóstej. O szóstej trzydzieści nadal jej nie było. Chester Himes siedział na ławce przy oknie w towarzystwie dwóch pań. Jedna z nich nosiła słoneczne okulary. Prowadzili ożywioną rozmowę w języku angielskim. Przy bufecie stało kilka osób. Starając się opanować zdenerwowanie, próbowałem śledzić rozmowę Himesa z przyjaciółkami, ale mówili zbyt szybko, prócz jednej z kobiet, wymawiającej angielskie słowa ze skandynawskim akcentem. Tylko ją jako tako rozumiałem. Chciała

zmienić hotel i pytała Himesa o nazwę tego, w którym mieszkał na początku swojego pobytu w Paryżu.

Wpatrywałem się w okno. Zapadł wieczór. Przed kawiarnią Tournon zatrzymała się taksówka i ona wysiadła. Miała na sobie prochowiec. Potem wysiadł kierowca. Otworzył bagażnik i wyczył jej walizkę, mniejszą od tej wczorajszej.

Szła w moją stronę z walizką w ręce. Zdawała się uradowana moim widokiem. Wracała prosto z Saint-Leu-la-Forêt, skąd zabrała resztę swoich rzeczy. Znalazła pokój w hotelu na tę noc. Prosiła tylko, bym zechciał zabrać walizkę do siebie. Wolała ją przechowywać „w pewnym miejscu”, razem z poprzednią. Ponownie zrobiłem uwagę, że te walizki muszą zawierać sztaby złota. Odpowiedziała, że są w nich tylko przedmioty posiadające wartość jedynie dla niej. Tonem pełnym łagodnej perswazji starałem się jej wytłumaczyć, że nie musi korzystać z hotelu, skoro mogę gościć ją u siebie, tak długo jak zechce.

– Lepiej żebyś mieszkała w hotelu.

Wyczuwałem w jej głosie pewną rezerwę. Coś ukrywała przede mną i zastanawiałem się, czy to z powodu braku zaufania, czy z obawy że prawda mogłaby mnie zszokować.

– A pan co dzisiaj robił?

– Nic szczególnego. Sprzedałem meble, żeby zdobyć trochę gotówki.

– I udało się?

– Tak.

– Potrzebował pan pieniędzy?

Utkwiła we mnie jasnyniebieskie spojrzenie.

– To zupełnie idiotyczne. Przecież mogę panu pożyczyć pieniądze.

Uśmiechała się. Zjawił się kelner. Zamówiła grenadyne. Ja też.

- Odłożyłam trochę pieniędzy – powiedziała.
- Są do pańskiej dyspozycji.
- To miło z pani strony, ale chyba znalazłem pracę.

I opowiedziałem jej o propozycji Dell'Aversana, wyjeździe do Rzymu i pracy w księgarni. Po chwili wahania zdobyłem się na odwagę i zapytałem:

- Pojechałaby pani ze mną?...

Nie wydawała się zdziwiona.

- Tak... To całkiem niezły pomysł. Czy wie pan, gdzie będzie tam mieszkał?

- Księgarz, u którego będę pracował, znajdzie mi jakieś lokum.

Pociągnęła łyk grenadyny, której kolor wspaniale harmonizował z błękitem jej oczu.

- Kiedy pan wyjeżdża?

- Za miesiąc.

Zapadło milczenie. I podobnie jak poprzedniego dnia w kawiarni na Cité odniosłem wrażenie, że zapomniała o mojej obecności, do tego stopnia, że gotowa była za chwilę wstać i wyjść.

- Zawsze marzyłam o tym, by zamieszkać w Londynie albo Rzymie – powiedziała. I znów utkwiała we mnie wzrok. – W obcym mieście można żyć spokojnie... Nikt nas tam nie zna.

Podobną uwagę zrobiła poprzedniego wieczoru w metrze. Chciałem wiedzieć, czy tu, w Paryżu, obawia się kogoś lub czegoś.

- Właściwie nie. To z powodu wczorajszego przesłuchania. Czuję się nieustannie obserwowana... Zadają tyle pytań... Pytali mnie o ludzi, których kiedyś znałam, ale z którymi już od dawna się nie widuję.

Wzruszyła ramionami.

- Najgorsze jest to, że mi nie uwierzyli... Wyobrażają sobie, że nadal się z nimi spotykam...

Przy sąsiednim stoliku zasiedli goście. Jej twarz znalazła się blisko mojej.

– A pan? – spytała szeptem. – Ilu pana przesłuchiwało?

– Tylko jeden. Ten, który tam był, kiedy pani weszła...

– Mnie przesłuchiwało dwóch. Drugi zjawił się dopiero po jakimś czasie. Udawał, że zajrzał przypadkiem, po czym zasypał mnie gradem pytań. A pierwszy kontynuował swoje. Przez chwilę miałam wrażenie, że jestem piłeczką pingpongową.

– A co to za ludzie, o których panią pytali?

– Nie znam ich dobrze. Spotkałam się z nimi dwa czy trzy razy.

Widocznie musiała zauważyć, że jej odpowiedź mnie nie satysfakcjonuje.

– To tak jak w pańskim przypadku. Powiedziano panu, że pańskie nazwisko figuruje w czymś notesie... A pan nawet nie wiedział w czym...

– Czy teraz również odnosi pani wrażenie, że jest obserwowana?

Zmarszczyła brwi. Przyglądała mi się w dziwny sposób, jakby nagle nabrała jakichś podejrzeń. Zgadłem, o czym myślała: zobaczyła mnie po raz pierwszy, gdy opuszczałem gabinet inspektora, a trzy godziny później nadal tkwiłem w pobliżu, siedząc na tarasie kawiarni.

– Sądzi pani, że ją śledzę? – zapytałem z uśmiechem.

– Nie. Nie wygląda pan na glinę. I jest pan za młody.

Nie spuszczała ze mnie wzroku. Jej twarz wyraźnie się rozjaśniła i obydwójce wybuchnęliśmy śmiechem.

Walizka była lżejsza od poprzedniej. Idąc rue de Tournon i rue de Seine doszliśmy do bulwaru. W mieszkaniu nie paliło się nigdzie światło. Było około pół do ósmej. Widocznie Grabley nadal robił porządek w nie znanych mi „papierach” pod numerem 73 boulevard Haussmann. Zawsze sądziłem, że ten lokal jest tak samo pusty jak kałamarze na stole i że ojciec traktował go jako swojego rodzaju poczekalnię. Dlatego też byłem zdumiony, gdy trzydzieści lat później znalazłem namacalny dowód jego obecności na boulevard Haussmann – pod postacią tej koperty z nadrukiem Spółki Cywilnej Badań nad Wzbogacaniem Rudy. Z drugiej strony, nadruk na kopercie jeszcze niczego nie wyjaśnia: można go czytać sto razy, pozostając nadal w głębokiej nieświadomości.

Chciałem jej pokazać, gdzie umieściłem pierwszą walizkę, więc weszliśmy po wewnętrznych schodach na piąte piętro. Drzwi do komórki otwierały się na lewą stronę, tuż przed wejściem do pokoju. W komórcie unosił się zapach skóry i jałowca. Ustawiłem walizkę obok pierwszej i zgasilem światło. Klucz do komórki wisiał na drzwiach. Zamknąłem komórkę, przekręcając dwukrotnie klucz w zamku.

– Proszę go zatrzymać – powiedziała.

Zeszliśmy do gabinetu. Chciała zatelefonować. Wykręciła numer, ale nikt nie odpowiadał. Rozczarowana odłożyła słuchawkę.

– Dziś wieczór mam zjeść z kimś kolację. Czy mógłby mi pan dotrzymać towarzystwa?

– Jeśli chcesz...

Nieświadomie zwróciłem się do niej per ty.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale najwyraźniej czuła się zażenowana.

– Czy mogłabym o coś pana poprosić? Żeby nie wspominał pan o wczorajszym przesłuchaniu i przedstawił się jako mój brat...

Nie zdziwiła mnie ta propozycja. Byłem gotów zrobić wszystko, o co tylko poprosi.

– A tak naprawdę ma pani brata?

– Nie.

To nie miało zresztą żadnego znaczenia. Widocznie „tego kogoś”, z kim mieliśmy zjeść kolację, nie znała zbyt dobrze, skoro nie wspomniała mu dotąd, że ma jakiegoś brata mieszkającego w okolicach Paryża. Na przykład w Montmorency, niedaleko Saint-Leu-la-Forêt.

Zadzwoił telefon. Poderwała się z miejsca. Podniosłem słuchawkę. To był Grabley. Siedział nadal pod numerem 73 boulevard Haussmann, gdzie udało mu się uporządkować większość „akt”. Odbył rozmowę telefoniczną z moim ojcem, który polecił mu pozbyć się czym prędzej większości tych papierów. Zastanawiał się nad dwiema możliwościami: zaczekać, aż dozorca spod numeru 73 wystawi na zewnątrz worki ze śmieciami, i upchnąć w nie „akta”, lub od razu wsunąć je do studzienki kanalizacyjnej, którą zauważył przy rue de l’Arcade. Tak czy owak istniało niebezpieczeństwo zwrócenia na siebie czyjejś uwagi.

– Zupełnie tak, jakbym miał pozbyć się trupa, mój Obligado...

Zapytał, co słyhać u mojej „przyjaciółki”. Niestety. Tego wieczoru nie będziemy mogli się z nim spotkać, bo ma być na kolacji u swojego brata, gdzieś między Montmorency a Saint-Leu-la-Forêt.

Taksówka wysadziła nas na rogu Champs-Elysées i rue Washington. Moja towarzyszka uparła się, że zapłaci za kurs.

Szliśmy lewą stroną ulicy. Wstąpiliśmy do pierwszej napotkanej kawiarni. Goście tłumnie otaczali flipper przy oknie i podczas gdy jeden grał, inni hałaśliwie kibicowali. Przeszliśmy przez salę. W głębi zwężała się w wąski korytarzyk, wzdłuż którego, zupełnie jak w wagonie restauracyjnym, ustawiono stoliki i ławki obite pomarańczowym moleskinem. Brunet, niespełna trzydziestoletni, podniósł się na nasz widok.

Dokonała prezentacji.

– Jacques... Mój brat Lucien...

Gestem ręki wskazał, byśmy usiedli naprzeciw.

– Moglibyśmy zjeść tutaj... Nie macie nic przeciwko temu?

I nie czekając na naszą odpowiedź, gestem ręki przywołał kelnera, który zjawił się niezwłocznie, by przyjąć zamówienie.

Wybrał dla nas potrawę dnia. Jej było najwyraźniej obojętne, co będzie jadła.

Przyglądał mi się z nie skrywaną ciekawością.

– Nie miałem pojęcia, że ona ma brata... Miło mi pana poznać...

Przyjrzał się jej uważnie, po czym znów przeniósł wzrok na mnie.

– Jesteście nawet do siebie podobni...

A jednak w jego głosie wyczuwało się nutę wątpliwości.

– Ansart nie mógł przyjść. Spotkamy się z nim po kolacji.

– Nie jestem pewna – powiedziała. – Czuję się trochę zmęczona i musimy wracać do Saint-Leu-la-Forêt.

– Nie ma problemu. Odwiozę was samochodem.

Miał sympatyczną twarz i miły głos, a w garniturze z ciemnej flaneli wyglądał dość elegancko.

– Czym się pan zajmuje, Lucien?

– Jeszcze studiuję – oznajmiła. – Literaturę.

– Ja także studiowałem. Medycynę.

W jego głosie wyczuwało się pewien smutek, jakby poruszył jakieś bolesne wspomnienie. Wnie­siono półmisek z łososiem i wędzoną rybą.

– Szef kuchni jest Duńczykiem – wyjaśnił.

– A może nie lubi pan kuchni skandynawskiej?

– Owszem, bardzo lubię.

Wybuchnęła śmiechem. Odwrócił się w jej stronę.

– Co cię tak śmieszy?

A więc mówił jej „ty”. Od jak dawna ją znał i jak się poznali?

– Lucien mnie rozśmiesza.

Ruchem brody wskazała na mnie.

Jakie właściwie były ich wzajemne stosunki? I dlaczego przedstawiła mnie jako swojego brata?

– Z przyjemnością zaprosiłbym was do siebie na kolację, ale nie mam w domu nic do jedzenia.

Zjadła zaledwie kilka kęsów i zapaliła papierosa.

- Nie jesteś głodna?
- W tej chwili nie.
- Wyglądasz na zmartwioną.

Ujął jej dłoń czułym gestem. Usiłowała uwolnić rękę, ale trzymał mocno, więc zrezygnowała. Zamknął jej dłoń w swojej.

- Od dawna się znacie? – zapytałem.
- Gisèle nigdy panu o mnie nie wspominała?
- Ostatnio rzadko widywaliśmy się z Lucienem
- odparła. – Ciągłe podróżywał.

Uśmiechnął się do mnie.

- Przedstawił nas sobie znajomy... Pierre Ansart... Przed dwoma tygodniami. Zna pan Pierre'a Ansarta?

- Nie – odpowiedziała – nia zna go.

Wydała się nagle bardzo zmęczona. Miała pewnie ochotę wstać od stolika, ale wciąż trzymał jej rękę.

- Nie jest pan dokładnie wprowadzony w życie pańskiej siostry?

W jego głosie dało się wyczuć odrobinę nieufności.

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej okulary słoneczne. Włożyła je.

- Gisèle jest bardzo skryta. Rzadko mi się zwierza.

Miałem dziwne uczucie, wymawiając po raz pierwszy jej imię. Przecież do tej pory nie powiedziała mi, jak się nazywa. Zwróciłem głowę w jej stronę. Zza słonecznych okularów wydawała się obojętna i daleka, jakby rozmowa nie dotyczyła jej, tylko kogoś zupełnie innego. Spojrzał na zegarek. Było pół do jedenastej.

- Twój brat idzie z nami do Ansarta?

- Tak, ale na krótko. Muszę z nim dzisiaj wrócić do Saint-Leu-la-Forêt.

- W takim razie odwiozę was, a potem wrócę do Ansarta.

- Wyglądasz na niezadowolonego...

- Nic podobnego – odparł suchym tonem.
- Przeciwnie.

Może nie odważył się dyskutować z nią na ten temat w mojej obecności.

- Nie ma potrzeby, żebyś jeździł tam i z powrotem. Weźmiemy taksówkę do Saint-Leu-la-Forêt.

*

Wsiadliśmy do granatowego samochodu zaparkowanego w bocznej alei. Zajęła miejsce z przodu.

- Czy ma pan prawo jazdy? – zapytał.
- Jeszcze nie.

Odwróciła się do mnie. Za ciemnymi okularami odgadywałem jasnoniebieskie spojrzenie. Uśmiechała się.

- To zabawne... Nie mogę wyobrazić sobie mojego brata za kierownicą...

Samochód ruszył i sunął powoli wzdłuż Champs-Élysées. Była nadal odwrócona w moją stronę. Niedostrzegalnym ruchem warg przesłała mi pocałunek. Zbliżyłem twarz do jej twarzy i o mało jej nie pocałowałem. Obecność tego mężczyzny wcale mnie nie krępowała. Miałem taką ochotę poczuć jej wargi na swoich i tak bardzo chciałem ją pieścić, że jego obecność przestała się liczyć.

- Powinien pan przekonać siostrę, żeby używała tego samochodu. Nie musiałyby korzystać z taksówek i metra.

Drgnąłem. Jego głos sprowadził mnie na ziemię. Odwróciła się ode mnie.

- Możesz korzystać z samochodu, kiedy tylko chcesz, Gisèle...

- Czy mogę wziąć go dziś wieczór, żeby wrócić nim do Saint-Leu-la-Forêt?

- Dziś wieczór? Skoro ci na tym zależy...

- Mam ochotę przejechać się nim dziś wieczór. Muszę się z nim oswoić.

– Jak chcesz.

Mijaliśmy Lasek Buloński. Porte de la Muette. Porte de Passy. Uchyliłem szybę i wdychałem zapach zwiędłych liści i wilgotnej ziemi. Chciałbym móc spacerować z nią po alejkach, w pobliżu jezior, kaskady lub Krzyża Katalońskiego, dokąd często chodziłem samotnie popołudniami, uciekając metrem z centrum Paryża.

Wjechał w rue Raffet i zaparkował na rogu Docteur-Blanche. Poznałem lepiej tę dzielnicę kilka lat później i często mijalem dom, w którym spotkaliśmy się z Ansartem tamtej nocy. Przy rue Raffet, pod numerem 14. Szczegóły topografii powodują u mnie osobliwe reakcje: zamiast przybliżyć wspomnienia, wywołują dojmujące uczucie zerwanych więzi i pustki.

Przeszliśmy przez podwórze. W głębi stał niewielki jednopiętrowy budynek. Jacques zadzwonił do drzwi. Wszedł krępy brunet lat około czterdziestu. Miał na sobie beżowy sweter, spod którego wystawał rozpięty kołnierz koszuli. Pocałował Gisèle, a Jacques'a serdecznie poklepał po plecach. Znaleźliśmy się w pomieszczeniu o białych ścianach. Na czerwonym tapczanie siedziała młoda, może dwudziestoletnia blondynka. Ansart z szerokim uśmiechem wyciągnął do mnie rękę.

– To jest brat Gisèle – oznajmił Jacques. – A to Pierre Ansart.

– Miło mi pana poznać – powiedział Ansart.

Mówił głosem poważnym, z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców przedmieścia. Młoda dziewczyna wstała i ucałowała Gisèle.

– Przedstawiam panu Martine – rzucił w moim kierunku Ansart.

Blondynka pozdrowiła mnie lekkim skinieniem głowy, uśmiechając się przy tym nieśmiało.

– Ukrywałaś przed nami jego istnienie? – zwrócił się Ansart do Gisèle.

Przenikliwym spojrzeniem ogarnął mnie i Giséle. Czy dał się nabrać na to oszustwo? Wszyscy troje zajęliśmy miejsca w fotelach w tym samym czerwonym kolorze co tapczan. Ansart usiadł na tapczanie, obejmując ramiona młodej blondynki.

– Jedliście przy rue Washington?

Jacques przytaknął skinieniem głowy. W głębi pokoju pięły się kręte schody. Opuszczony właz prowadził zapewne do pomieszczenia służącego za sypialnię. Z lewej strony salonu mieściła się duża kuchnia pełniąca jednocześnie funkcję jadalni. Z fotela, na którym siedziałem, mogłem dostrzec lśniąca biel wyposażenia. Ansart przechwycił moje spojrzenie.

– To mieszkanie zostało przerobione z dawnego warsztatu samochodowego.

– Bardzo tu przyjemnie – odparłem.

– Napije się pan czegoś? Może lipowej herbaty?

Młoda blondynka wstała, kierując się w stronę kuchni.

– Zaparz nam cztery herbaty, Martine – zadysponował Ansart po ojcowsku.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, jakby pragnął dociec, z kim naprawdę ma do czynienia.

– Jest pan bardzo młody... – stwierdził po chwili.

– Mam dwadzieścia jeden lat – powtórzyłem moje wcześniejsze kłamstwo.

Zdjęła słoneczne okulary i popatrzyła na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

– Jeszcze studiuje – oznajmił Jacques, przenosząc spojrzenie na mnie.

Znalazłem się w centrum ich zainteresowania i czułem się skrępowany. Zacząłem się zastanawiać, co robię pośród tych nieznajomych. Jej przecież także nie znałem.

– A co studiuje? – spytał Ansart.

– Literaturę – odparł Jacques.

Młoda blondynka wróciła z tacą, którą ustawiła przed nami na dywanie. Wdzięcznym gestem podała każdemu filiżankę lipowej herbaty.

– Kiedy pan kończy studia? – zapytał Ansart.

– Za dwa, trzy lata.

– Rozumiem, że tymczasem rodzice łożą na pańskie utrzymanie...

Nadal wpatrywali się we mnie, jakbym był dziwnym okazem jakiegoś zwierzęcia. W głosie Ansarta wyczuwałem ironiczną wzgardę i pewne rozbawienie.

– Ma pan szczęście, że zacni rodzice chcą panu pomagać...

Powiedział to z odrobiną goryczy, a jego spojrzenie stało się nagle zamglone.

Co mu odpowiedzieć? Pomyślałem o moim ojcu, o jego ucieczce do Szwajcarii, o Grableyu, o ogolonym mieszkaniu i o Dell’Aversano, o mojej matce gdzieś na południu Hiszpanii... Już chyba lepiej, żeby miał mnie za układowego młodego człowieka utrzymywanego przez rodziców.

– Myli się pan – oznajmiła nagle. – Nikt mu nie pomaga. Mój brat radzi sobie sam...

Byłem wzruszony jej reakcją. Zupełnie zapomniałem, że byliśmy rodzeństwem, a co za tym idzie, musieliśmy mieć tych samych rodziców.

– Zresztą nie mamy żadnej rodziny. To upraszcza sprawę...

Ansart uśmiechnął się szeroko:

– Biedne dzieciaki...

Atmosfera się rozluźniła. Młoda blondynka dołącała nam herbaty do opróżnionych filiżanek. Najwyraźniej darzyła sympatią Gisèle i mówiła jej po imieniu.

– Zajrzysz dziś wieczorem do restauracji? – zapytał Jacques.

– Tak – odparł Ansart.

Gisèle zwróciła się w moją stronę:

– Pierre ma niewielką restaurację w tej dzielnicy.

– Takie tam byle co – sprostował Ansart. – Interes gonił resztkami sił, więc przejąłem go, ot tak, dla rozrywki...

– Któregoś dnia wybierzemy się tam na kolację – oznajmił Jacques.

– Nie wiem, czy mój brat będzie miał ochotę. Rzadko gdzieś wychodzi.

Oznajmiła to tonem tak zdecydowanym, jakby pragnęła ochronić mnie przed nimi.

– A jednak miło by było pójść na kolację we czworo – wtrąciła młoda blondynka.

Jej szczere spojrzenie przenosiło się ze mnie na Gisèle i z powrotem. Wydawała się pełna najlepszych intencji.

– Musimy wracać do Saint-Leu-la-Forêt – oznajmiła Gisèle.

– Może zostalibyście jeszcze chwilę – zaproponował Jacques.

Nabrałem głęboko powietrza i pewnym głosem odpowiedziałem:

– Nie. Musimy już jechać. Mamy drobne kłopoty mieszkaniowe.

Z pewnością wspomniała im o mieszkaniu w Saint-Leu-la-Forêt. Niewykluczone, że zapoznała ich ze szczegółami, o których nie miałem pojęcia.

– Bierzesz samochód? – zapytał Jaques.

– Tak, biorę.

Zwróciwszy się w stronę Ansarta, oznajmił:

– Pożyczam jej mój samochód. Czy mógłbym wziąć któryś z twoich?

– Nie ma sprawy. Zaraz coś wyprowadzę z garażu.

Podnieśliśmy się. Gisèle ucałowała młodą blondynkę. Z Ansartem i Jacques'em wymieniliśmy uścisk dłoni.

– Kiedy się zobaczymy? – spytał Jacques, zwracając się do Gisèle.

– Zadzwoń do ciebie.

Żegnając się z nią, wydawał się zawiedziony.

– Proszę dobrze opiekować się siostrą.

Wręczył jej kluczyki.

– Jedź ostrożnie. Jeśli nie zastaniesz mnie jutro w domu, zadzwoń do restauracji.

Ansart przyglądał mi się równie uważnie jak na początku.

– Miło mi było pana poznać. Gdyby pan czegoś potrzebował...

Byłem zaskoczony tą niespodziewaną troską.

– W pańskim wieku czasami bywa niełatwo... Kiedyś też miałem tyle lat co pan, więc wiem...

Smutny wyraz oczu dziwnie kontrastował z jego dźwięcznym głosem i zdecydowanymi rysami twarzy.

Młoda blondynka odprowadziła nas do drzwi. Zwracając się do Gisèle, powiedziała:

– Możemy się jutro zobaczyć. Będę przez cały czas w domu.

Stojąc w progu, w półmroku podwórza wydawała się jeszcze młodsza. Pomyślałem, że Ansart mógłby być jej ojcem. Gdy przechodziliśmy przez podwórze, wciąż tam tkwiła, odprowadzając nas wzrokiem. Jej sylwetka odcinała się wyraźnie na tle oświetlonych drzwi. Sprawiała wrażenie, jakby chciała do nas dołączyć. Pomachała nam ręką. Nie pamiętaliśmy, w którym miejscu Jacques zaparkował samochód. Szliśmy wzdłuż ulicy, usiłując go znaleźć.

– A gdybyśmy tak pojechali metrem? – zaproponowała. – To nie takie proste z tym samochodem... zresztą chyba zgubiłam kluczyki...

Niewymuszony ton, jakim to powiedziała, sprawił, że wybuchnąłem niepoohamowanym, zaraźliwym śmiechem. Zupełnie nie mogliśmy się opanować. Cicha, opustoszała ulica rozbrzmiewała radosnym chichotem. Gdy doszliśmy do końca, przeszliśmy na drugą stronę i ruszyliśmy w odwrotnym kierunku. Wreszcie znaleźliśmy samochód. Wypróbowawszy kolejne cztery klucze, zdołała wreszcie otworzyć drzwiczki. Zajęliśmy miejsca w skórzanych fotelach.

– Teraz trzeba go jakoś uruchomić – oznajmiła.

Udało jej się włączyć stacyjkę. Samochód szarpnął gwałtownie do tyłu. Nacisnęła na hamulec, w chwili gdy auto wjechawszy na chodnik zmierzało wprost w drzwi wejściowe do klatki schodowej. Wyprostowana, z uniesioną twarzą o napiętych rysach, ruszyła w stronę Łasku Bulońskiego. Odniosłem wrażenie, że prowadzi samochód po raz pierwszy w życiu.

Gdy jadąc boulevard Murat w kierunku nabrzeża skręciliśmy w prawo, Gisèle oznajmiła:

– Mieszkałam tu kiedyś.

Powinienem był ją zapytać kiedy i w jakich okolicznościach, ale przepuściłem okazję. Gdy jest się młodym, nie zwraca się uwagi na szczegóły, które później mogą się okazać niezmiernie przydatne. Znowu skręciliśmy w prawo w kierunku Sekwany.

– Czy pańskim zdaniem dobrze prowadzę?

– Bardzo dobrze.

– Nie boi się pan ze mną jechać?

– Absolutnie nie.

Dodała gazu. Jechała coraz szybciej, mimo że od boulevard Louis-Blériot jezdnia wyraźnie zaczęła się zwężać. Czerwone światło. Myślałem, że złamię przepisy. Zahamowała gwałtownie.

– Już się przyzwyczaiłam do tego samochodu...

Zacząła jechać z normalną szybkością. Byliśmy na wysokości parku Trocadéro. Przejechaliśmy przez Pont-de-Iéna i ruszyliśmy wzdłuż Champ de Mars.

– Dokąd jedziemy? – spytałem.

– Do mojego hotelu. Ale przedtem chciałąbym wstąpić po coś, czego zapomniałam.

Znajdowaliśmy się na pustym placu Ecole Militaire. Wielki gmach zdawał się opuszczony. Champ de Mars sprawiało wrażenie rozległej łąki schodzącej łagodnym stokiem w kierunku Sekwany. Jechaliśmy przed siebie. Ukazał się ciemny masyw koszar wojskowych i okalającego je muru. Zauważyłem wiadukt kolejki nadziemnej. Zatrzymaliśmy się przed budynkiem przy rue Desaix.

– Zaczeka pan? To nie potrwa długo.

Zostawiła kluczyki na desce rozdzielczej. Weszła do budynku. Zastanawiałem się, czy wróci. Po chwili wysiadłem z samochodu i stanąłem przed wejściowymi drzwiami. Były oszklone i ozdobione metalowymi okuciami. Niewykluczone, że budynek miał drugie wyjście. Mogłaby po prostu zniknąć i zostawić mnie z tym niepotrzebnym samochodem. Zacząłem poważnie rozważać taką ewentualność. Jeśli rzeczywiście odejdzie bez pożegnania, to mam kilka punktów zaczepienia: kawiarnię przy rue Washington, której Jacques był stałym bywalcem, mieszkanie Ansarta, no i przede wszystkim walizki. Czemu więc obawiałem się jej zniknięcia? Znałem ją zaledwie od dwudziestu czterech godzin i niczego o niej nie wiedziałem. Dopiero przez osoby trzecie dowiedziałem się, jak ma na imię. Była nieustannie w ruchu, jakby się czegoś obawiała. Chyba nie byłbym w stanie jej zatrzymać. Spacerowałem po chodniku tam i z powrotem. W pewnej chwili usłyszałem za sobą odgłos zamykanych drzwi. Szła w moim kierunku. Nie miała już na sobie prochowca. Była w futrze, a prochowiec niosła przewieszony przez ramię.

– Zamierzał pan odejść? Nie chciał pan na mnie czekać?

Obdarzyła mnie uśmiechem pełnym niepokoju.

– Nic podobnego. Sądziłem, że to pani odeszła bez pożegnania.

Wzruszyła ramionami.

– Nonsens... Skąd panu to przyszło do głowy?

Szliśmy w stronę samochodu. Wziąłem od niej prochowiec i przewiesiłem przez ramię.

– Piękne futro – stwierdziłem.

Wydawała się zakłopotana.

– Tak... Moja znajoma... Która tutaj mieszka... Ona jest krawcową... Dałam jej to futro do skrócenia.

– A uprzedziła ją pani, że przyjdzie tak późno?

– To jej nie przeszkadza... Pracuje nocami...

Ukrywała przede mną prawdę. Zamierzałem zadać jej kilka szczegółowych pytań, ale powstrzymałem się. W końcu przyzwyczai się do mnie, z czasem nabierze zaufania i wszystko mi wyzna.

Wsiedliśmy do samochodu. Położyłem prochowiec na tylnym siedzeniu. Ruszyła, tym razem łagodnie.

– Hotel jest niedaleko stąd...

Dlaczego wybrała hotel w tej dzielnicy? Z pewnością nieprzypadkowo. Coś ją musiało tu trzymać. Jakaś więź. Czyżby obecność tajemniczej krawcowej?

Wjechaliśmy w jedną z ulic skracających z avenue de Suffren w kierunku Grenelle, łączących dzielnicę siódmą i piętnastą. Zatrzymaliśmy się przed hotelem, którego fasadę oświetlał neon warsztatu samochodowego znajdującego się na samym rogu ulicy. Zadzwoiła do bramy. Otworzył nam nocny portier. Poszliśmy za nim do recepcji. Poprosiła o klucz do pokoju. Przyjrzał mi się podejrzliwie.

– Czy zechciałby pan wypełnić kartę hotelową? I proszę o dowód osobisty.

Nie miałem przy sobie dowodu. Tak czy owak byłem nieletni.

Położył klucz na blacie kontuaru. Chwyciła go nerwowym gestem.

– To mój brat...

Przez moment się zawahał.

– Trzeba to udokumentować. Muszę obejrzyć papiery.

– Nie mam przy sobie – odpowiedziałem.

– W takim razie nie może pan pójść razem z panią.

– Dlaczego? Skoro jest moim bratem...

Obserwował nas przez chwilę w milczeniu. Przypomniał mi się wczorajszy policjant. Lampa rzucała światło na kwadratową twarz i łysiejącą czaszkę. Telefon stał na blacie. W każdej chwili mógł sięgnąć po słuchawkę i powiadomić o naszej obecności najbliższy komisariat. Tworzyliśmy dziwną parę i musieliśmy się wydawać dosyć podejrzani. Pamiętam jego szeroką szczękę, wąskie wargi i głęboką pogardę, z jaką na nas patrzył. Byliśmy całkowicie zdani na jego łaskę. Nie znaczyliśmy nic. Zwróciłem się w jej stronę:

– Musiałem zostawić dokumenty, jak byliśmy z mamą na obiedzie. Mam nadzieję, że mama je znalazła – powiedziałem nieśmiało.

Słowo „mama” wymawiałem z wyraźnym naciskiem, pragnąc go lepiej do nas nastawić. Ona natomiast wydawała się gotowa w każdej chwili stawić mu czoło. Klucz miała w ręce. Niespodziewanie go jej wyjąłem i delikatnie położyłem na blacie kontuaru.

– Chodź... Postaramy się znaleźć dokumenty...

Pociągnąłem ją za ramię. Od drzwi wejściowych dzieliło nas jakieś kilkanaście metrów. Byłem pewien, że nie spuszcza z nas oczu. Starłem się iść w sposób jak najbardziej naturalny. To nie mogło wyglądać na ucieczkę. A jeśli zamknął drzwi na klucz i znaleźliśmy się w pułapce? Na szczęście nie.

Na zewnątrz odetchnąłem z ulgą. Nocny portier nic już nam nie mógł zrobić.

– Czy chce pani wrócić sama do hotelu?

– Nie. Ale jestem pewna, że gdybyśmy nalegali dłużej, to wreszcie by ustąpił.

– Nie sądzę.

– Bał się pan?

Patrzyła na mnie z kpiącym uśmiechem. Chciałem jej wyznać, że dodałem sobie lat, bo w rzeczywistości miałem ich zaledwie osiemnaście.

– Dokąd jedziemy w takim razie? – spytała.

– Do mnie. Będzie nam znacznie wygodniej niż w hotelu.

Kiedy jechaliśmy avenue de Suffren, ogarnęły mnie podobne obawy, jakie poczułem po raz pierwszy w obecności nocnego portiera. Ten samochód i futro, które miała na sobie, zwracały uwagę. Bałem się, że na następnym skrzyżowaniu zatrzyma nas pierwszy lepszy patrol policyjny, od których o tej porze, po północy, aż się roi w Paryżu.

– Czy ma pani prawo jazdy?

– Powinno być w torebce – odpowiedziała.

– Proszę zajrzeć.

Torebka leżała na desce rozdzielczej. Niewiele w niej było, toteż bez trudu znalazłem dokument. Kusiło mnie, by zajrzeć do środka, sprawdzić jej nazwisko, adres, datę i miejsce urodzenia, ale nie chciałem być niedyskretny, więc powstrzymałem się.

– Jak pani sądzi, czy jest tu gdzieś karta wozu i dowód rejestracyjny?

– Na pewno... Muszą być w schowku.

Wzruszyła ramionami. Zdawała się kompletnie ignorować niebezpieczeństwa, które ja brałem pod uwagę. Włączyła radio. Muzyka wpływała na mnie kojąco. Nabrałem otuchy. Nie zrobiliś-

my nic złego. Co właściwie można było nam zarzucić?

– Możemy się wybrać samochodem na Południe – powiedziałem.

– Sądziłam, że wybiera się pan do Rzymu.

Aż do tej chwili myślałem o podróży pociągiem. Teraz jednak zacząłem poważnie rozważać możliwość jazdy samochodem. Najpierw pojechalibyśmy na Południe Francji. Przekroczylibyśmy granicę w Vintimille. Przy odrobinie szczęścia wszystko mogło się powieść. Biorąc pod uwagę, że byłem nieletni, sam musiałbym napisać zezwolenie ojca na mój pobyt za granicą. Miałem niejaką wprawę w tego typu oszustwach.

– Myśli pani, że pożyczyliby nam samochód?

– No pewnie... Dlaczego nie?

Najwyraźniej nie miała zamiaru udzielić mi dodatkowych wyjaśnień.

– Przecież zna ich pani od niedawna...

Milczała. Naciskałem dalej.

– Czy tego Jacques'a poznała pani przez Ansarta?

– Tak.

– Czym Jacques właściwie się zajmuje?

– Jest jego współnikiem w interesach.

– A w jaki sposób poznała pani Ansarta?

– Poznałam go w kawiarni. – Po chwili dodała: – Jacques zajmuje piękne mieszkanie przy rue Washington. Nazywa się Jacques de Bavière...

Później często słyszałem w jej ustach to nazwisko: de Bavière. Czy dobrze usłyszałem? Czy nie chodziło tu raczej o bardziej pospolite nazwisko, takie jak: de Bavier albo Debaviaire? Albo o pseudonim?

– Jest z pochodzenia Belgiem, ale mieszka we Francji od zawsze. Mieszkanie przy rue Washington dzieli ze swoją macochą.

- Macochą?
- Tak. Wdową po ojcu.

Dotarliśmy do Pont de la Concorde. Zamiast jechać wzdłuż boulevard Saint-Germain, przejechała na drugą stronę rzeki.

- Wolę jechać nadbrzeżem – oznajmiła.

- Ten Jacques de Bavière... wydaje się w pani zakochany...

- Być może. Ale nie chcę z nim mieszkać. Wolę zachować niezależność.

- Woli pani mieszkać w Saint-Leu-la-Forêt?

Przybrałem ton ironiczny, tak jakbym w ogóle nie wierzył w istnienie jakiegoś domu w Saint-Leu-la-Forêt.

- Mam prawo do własnego życia...

- Chciałbym, żeby mnie pani kiedyś zaprosiła do Saint-Leu...

Uśmiechnęła się.

- Pan sobie ze mnie żartuje?

- Nic podobnego. Jestem po prostu ciekaw, jak pani mieszka...

- Niestety. Od wczoraj już tam nie mieszkam. I pan o tym dobrze wie...

Przed nami Pont-Neuf. Przemierzamy tę samą trasę, jaką poprzedniego dnia przebyliśmy pieszo. Zaparkowała samochód w zatoczce na boulevard Conti, na rogu ślepej uliczki.

Tym razem światła w gabinecie i sąsiednim pokoju były zapalone. Wiedziałem, że nie uda nam się nie natknąć na Grableya i ta perspektywa wyraźnie psuła mi humor.

- Wejdziemy na palcach.

Ale w chwili gdy mijaliśmy przedpokój, Grabley otworzył drzwi od pokoju sąsiadującego z gabinetem.

- Kto tam? Czy to ty, Obligado?

Miał na sobie szlafrok w szkocką kratę.

- Mógłbyś mnie przedstawić...
- Gisèle... – powiedziałem niepewnym głosem.
- Henri Grabley. Miło mi panią poznać. Przepraszam za mój strój.

Podszedł do niej i wyciągnął rękę. Nie podała mu swojej.

Czuł się tu gospodarzem. Zresztą jego osoba doskonale pasowała do tego pustego mieszkania...

- Pan Grabley jest przyjacielem mojego ojca
- wyjaśniłem.

– Przyjacielem z dawien dawna.

Wykonał zapraszający gest w kierunku tego pokoju, który sąsiadował z gabinetem, a którego przeznaczenie nigdy nie było dokładnie określone. Bywał salonem – niegdyś bowiem jego wyposażenie stanowiła kanapa obita szafirowym welurem, dwie berzerki w tym samym odcieniu i niski stolik – był również tak zwanym „pokojem gościnnym”. Okna pozbawione zasłon wychodziły na bulwar.

– Miałem dość widoku na podwórze. Przeniosłem się tutaj. Nie masz nic przeciwko temu, Obligado?

– Proszę czuć się jak u siebie w domu.

Wszedł do pokoju. Ja i ona staliśmy nadal w progu. Na podłodze, w lewym rogu pokoju, leżał materac. Pokój oświetlała żarówka osadzona na samej podstawie od lampy. Nie było żadnych innych mebli. Na marmurowym kominku stał czarny lakierowany koszyk, którego Grabley używał niekiedy do porannych zakupów, oraz duży odbiornik radiowy.

– Wolałaby pani przejść do gabinetu?

Patrzył na nią z lekko uniesioną głową i pyszałkowskim uśmiechem.

– Jest pani urzekająca...

Nie zareagowała na ten komplement i zacząłem się obawiać, że z jego powodu gotowa odwrócić się na pięcie i wyjść.

– Chyba nie ma mi pani za złe mojej otwartości?

Był wyraźnie zakłopotany naszym milczeniem, wreszcie zwrócił się do mnie.

– W żaden sposób nie mogę się skontaktować z twoim ojcem. Numer telefonu, który mi podał, nie odpowiada.

Nie było w tym nic dziwnego. Mogłem przewidzieć, że telefon będzie dzwonił na próżno przez całą wieczność.

– Nie pozostaje nic innego, jak nadal próbować – powiedziałem. – W końcu się odezwie.

Wydawał się zbity w tropu. Przypominał ulicznego sprzedawcę, któremu nie udaje się przekonać klienteli.

– A gdybyśmy tak jutro wybrali się we trójkę na kolację?

– Nie wiem, czy Gisèle będzie miała czas.

Patrzyłem na nią, oczekując jakiegoś wsparcia.

– Bardzo panu dziękuję, ale jutro wieczorem nie będzie mnie w Paryżu.

Byłem jej wdzięczny za uprzejmy ton, jakim to powiedziała, bo obawiałem się, że może się okazać wobec niego niegrzeczna. Nagle poczułem litość dla Grableya, z jego blond włosami i koszykiem na zakupy stojącym na kominku, i dla mojego ojca, który stąd uciekł... Dziś widzę tę scenę jak przez mgłę. Za okienną szybą rozróżniam w przyćmionym świetle sylwetkę pięćdziesięcioletniego blondyna w szlafroku w szkocką kratę, dziewczyny w futrze i chłopaka... Żarówka osadzona na podstawie od lampy jest za mała i za słaba. Gdybym mógł cofnąć czas i wrócić do tamtego pokoju, wymieniłbym żarówkę. Tyle tylko, że w ostrym świetle wszystko mogłoby się rozproszyć.

Leżała obok mnie w sypialni na piątym piętrze. Słyszałem muzykę i monotony głos spikera. Na dole Grabley słuchał radia.

– Dziwny jest ten facet – orzekła. – Czym on się zajmuje?

– Wszystkim po trosze.

Któregoś dnia natknąłem się w gabinecie na jego portfel. Wśród rozmaitych papierów, które zawierał, zaskoczył mnie jeden, najwyraźniej bardzo stary: zezwolenie na prowadzenie handlu nowalijkami oraz owocami na terenie hal w Reims.

– A twój ojciec? Jest podobnym typem człowieka?

Po raz pierwszy zwróciła się do mnie per ty.

– Nie. Niezupełnie...

– Wyjechał do Szwajcarii, bo miał tu kłopoty?

– Tak.

Nie wydawała się tym zaniepokojona.

– A ty? Masz rodzinę?

– Właściwie nie. – Uśmiechała się, patrząc mi prosto w oczy: – Mam brata, który ma na imię Lucien...

– A czym się zajmujesz?

– Wszystkim po trosze.

Zmarszczyła brwi, jakby szukała właściwych słów. W końcu powiedziała:

– Byłam nawet zamężna.

Udałem, że nie słyszę. Jakiegokolwiek słowo czy gest mogło położyć kres zwierzeniom. Tymczasem milczała z wzrokiem utkwionym w sufit. Cienie tańczyły po ścianach. Ich ruch i kształt przywodził na myśl liście drżące i szeleszczące na wietrze. Reflektory ostatniego przepływającego *bateau-mouche* oświetlały fasady domów na bulwarze.

Nazajutrz była sobota. Słońce i błękit nieba kontrastowały z szarymi nisko zawieszonymi chmurami dnia poprzedniego. Na bulwarze jeden z buki-
nistów otworzył już stoisko. Miałem wrażenie, że
jestem na wakacjach, co zdarzało mi się już wcześ-
niej, gdy w soboty budziłem się w swoim pokoju
zaskoczony, że to nie szkolna sypialnia.

Tego ranka wydawała się znacznie bardziej od-
prężona. Pomyślałem o czekającej nas wspólnej
podróży do Rzymu i postanowiłem czym prędzej
wystarać się o plan miasta. Potem zapytałem ją,
czy nie miałyby ochoty pójść na spacer do Lasku
Bulońskiego. W gabinecie czekała na mnie wiado-
mość od Grableya:

Drogi Obligado,
musiałem znów udać się na boulevard Haus-
smann, żeby zlikwidować resztę dokumentów,
które twój ojciec tam pozostawił. Dziś wieczór
zamierzam iść na „obchód”. Jeśli chcecie się do
mnie przyłączyć, to będę na was czekał o ósmej
w Deux Magots. Ta młoda osoba jest naprawdę
urocza... Postaraj się ją przyprowadzić... Będę za-

chwycony, mogąc przedstawić wam dziś wieczór nader interesującą osobkę.

H.G.

Chciała sprawdzić, czy walizki nadal znajdują się na swoim miejscu. Potem oznajmiła mi, że przed południem musi udać się po coś w okolice boulevard de Passy. Dobrze się składało, bo było to po drodze do Lasku Bulońskiego. W chwili gdy wsiadaliśmy do samochodu, poprosiłem, by na mnie poczekała, i pogałem w kierunku stoiska bukinisty. W rzędzie książek poświęconych geografii i podróżom znalazłem stary przewodnik po Rzymie, co wydało mi się pomyslną wróżbą.

Przyzwyczajiliśmy się już do samochodu i wydawało mi się nawet, że należał do nas od zawsze. Tego sobotniego ranka ruch był niewielki, jak w czasie okresów wakacyjnych, gdy większość paryżan wyjeżdża z miasta. Przez Pont de la Concorde przejechaliśmy na prawy brzeg Sekwany. Z tej strony bulwary zdawały się jeszcze bardziej opustoszałe. Minęliśmy ogrody Trocadéro i zatrzymaliśmy się pod wiaduktem metra, na rogu rue Albani. Prosiła, żebym ją tam zostawił. Zaproponowała spotkanie za godzinę w kawiarni na bulwarze. Odwróciła się w moją stronę i pomachała mi ręką. Zastanawiałem się, czy nie zamierza odejść na dobre. Poprzedniego dnia miałem jakiś punkt zaczepienia: widziałem, jak wchodziła do bramy. Tym razem nie życzyła sobie, bym ją odprowadzał. Z nią niczego nie mogłem być pewny.

Wolałem spacerować niż siedzieć w kawiarni, toteż obchodziłem kolejno sąsiednie zaułki i schodki otoczone balustradą i ulicznymi latarniami. Później nieraz wracałem w te okolice i za każdym razem schodki przy rue Albani przypominały mi

tę sobotę, gdy na nią czekałem. To było w listopadzie, ale z powodu słonecznego dnia moje wspomnienie pozostało skąpane w letnim świetle. Plamy słońca na chodniku i cień pod wiaduktem. Wąskie, ciemne przejście, będące niegdyś wiejską dróżką, pnie się między domami w kierunku rue Raynouard. Nocą latarnie u wejścia do stacji metra Passy rzucają blade światło na zeschnięte liście.

Któregoś dnia chciałem po raz ostatni odwiedzić to miejsce. Znalazłem się w okolicy biurów nad Sekwaną. Część z nich wyburzano. Zwały gruzu, rozprute ściany domów jak po bombardowaniu. Buldożery powolnym ruchem usuwały resztki gruzu. Zawróciłem rue Dickens. Zastanawiałem się, gdzie była tamtej soboty. Chyba właśnie przy rue Dickens. Gdy się rozstawaliśmy, widziałem, jak skręcała w lewo, a godzinę później szedłem w stronę kawiarni na bulwarze, gdzie byłem z nią umówiony. Podążyłem ulicą Frémiet w kierunku Sekwany, gdy usłyszałem, że ktoś mnie woła po imieniu. Odwróciłem się: szła w moją stronę, prowadząc na smyczy czarnego labradora.

*

Pies na mój widok zamachał ogonem. Wspiął się na tylne łapy, opierając przednie na moich kolanach. Poglaskałem go.

– Dziwne... Można by pomyśleć, że cię rozpoznał.

– Czy to twój pies? – zapytałem.

– Tak, ale oddałam go komuś pod opiekę, bo nie miałam czasu się nim zajmować ostatnio.

– Jak się wabi?

– Raymond.

Wydawała się uszczęśliwiona, że znów ma swojego psa.

– Czy po coś jeszcze musisz się udać?

– Na razie nie.

Uśmiechnęła się do mnie. Musiała się zorientować, że stroję sobie z niej żarty. Walizki, futro, pies... Dziś lepiej rozumiem te nieustanne spacery tam i z powrotem po rozrzucone strzępy własnego życia.

Pies wśliznął się do samochodu i ulokował na tylnym siedzeniu, jakby to miejsce było mu od dawna przynależne. Oznajmiła mi, że zanim pojedziemy do Lasku Bulońskiego, musi wpaść na chwilę do Ansarta. Chciała zapytać Jacques'a de Bavière, czy możemy jeszcze przez jakiś czas zatrzymać samochód. Ansart i Jacques de Bavière spędzali soboty w domu lub w restauracji Ansarta. Ci ludzie mieli swoje przyzwyczajenia, a ja nie bardzo wiedząc dlaczego należałem teraz do ich grona. Byłem jak podróżny, który łapiąc pociąg w biegu, ni stąd, ni zowąd, wpada w towarzystwo czterech nieznajomych i zastanawia się, czy aby nie pomylił pociągu. Zresztą co za różnica, skoro i tak już zdążyli nawiązać z nim rozmowę.

Spojrzałem na psa.

– Czy Raymond zna Ansarta i Jacques'a de Bavière?

– Tak. Zna.

Wybuchnęła śmiechem. Pies uniósł łeb i spojrzał na mnie, strzygąc jednym uchem.

Gdy spotkała ich po raz pierwszy, miała ze sobą psa. Mieszkała wówczas w Saint-Leu-la-Forêt. Ludzie, którym potem powierzyła psa, posiadali dom w pobliżu Saint-Leu-la-Forêt i mieszkanie w Paryżu. I właśnie dziś przywieźli psa do Paryża.

Zastanawiałem się, czy powinienem jej wierzyć. Te wszystkie wyjaśnienia były nazbyt obszerne, a zarazem nie dość kompletne, jakby pod tą lawi-

ną szczegółów chciała ukryć inną prawdę. Dlaczego siedziała tam całą godzinę, skoro chodziło jedynie o odebranie psa? I czemu nie chciała, żebym jej towarzyszył? Kim byli ci ludzie?

Pomyślałem, że nie warto jej o to pytać. Znałem ją zaledwie od czterdziestu ośmiu godzin. Wystarczy kilka wspólnie spędzonych dni i usuniemy wszelkie bariery między nami. Już wkrótce do-
wiem się wszystkiego.

Zatrzymaliśmy się przy rue Raffet i przeszliśmy przez podwórze. Pies biegł za nami posłusznie, choć nie założyła mu smyczy. Drzwi otworzyła Martine, młoda blondynka. Ucałowała Gisèle. A potem mnie. Byłem zaskoczony tą poufałością.

Ansart i Jacques de Bavière siedzieli na tapczanie i oglądali fotografie. Niektóre z nich leżały porozrzucane na dywanie. Nie byli zaskoczeni naszą wizytą. Pies wskoczył na tapczan i przywitał się z nimi radośnie.

– Cieszysz się, że znowu masz psa? – spytał Jacques de Bavière.

– Bardzo.

Ansart pozbierał fotografie i położył je na niskim stoliku.

– Nie miałaś problemów z samochodem? – spytał Jacques de Bavière.

– Żadnych.

– Usiądźcie na chwilę – powiedział Ansart z lekkim akcentem z przedmieścia.

Siedliśmy na fotelach. Pies ułożył się obok Gisèle. Martine przykucnęła na podłodze między Jacques'em de Bavière a Ansartem, opierając plecy o brzeg kanapy.

– Chciałam was zapytać, czy moglibyśmy zatrzymać samochód jeszcze przez jakiś czas – zapytała Gisèle.

Jacques de Bavière uśmiechnął się ironicznie.

– Oczywiście. Jak długo chcecie.

– Pod jednym warunkiem... – wtrącił Ansart. Podniósł w górę palec, by przyciągnąć naszą uwagę. Jego twarz rozpływała się w uśmiechu i sprawiał wrażenie, jakby za chwilę chciał nam opowiedzieć jakiś dowcip. – Pod warunkiem, że wyświadcycie mi pewną przysługę...

Wyjął papierosa z paczki leżącej na niskim stoliku i nerwowo przypalił go zapalniczką. Patrzył mi prosto w oczy, jakby tylko do mnie się zwracał. Widocznie Gisèle wiedziała mniej więcej, o co chodzi.

– To bardzo proste... Chodzi o przekazanie informacji...

Jacques de Bavière i Martine przyglądali się psu, który siedział w pozycji sfinksa u stóp Gisèle. Odniosłem wrażenie, że chcą uniknąć mojego wzroku. Obawiali się może, że propozycja Ansarta wyda mi się nieco szokująca.

– To nic skomplikowanego. Jutro po południu udacie się do kawiarni, którą wam wskażę... Zaczekacie, aż ten facet wejdzie...

Sięgnął po jedną z fotografii leżących na niskim stoliku i pokazał nam ją z daleka. Twarz bruneta lat około czterdziestu. Gisèle nie wydawała się zdziwiona prośbą Ansarta.

On jednak zauważył moją rezerwę, bo pochylił się ku mnie i oznajmił:

– Proszę się nie niepokoić. To banalna sprawa... Robię z tym człowiekiem interesy... Kiedy usiądzie przy stoliku, jedno z was podejdzie do niego i powie: „Pan Ansart czeka na pana w samochodzie za rogiem...”

Znów się uśmiechnął szerokim dziecięcym uśmiechem. Jego twarz tchnęła szczerością.

Chciałem poznać opinię Gisèle. Sięgnęła po fotografię, którą Ansart położył na niskim stoliku. Przyglądaliśmy się zdjęciu. Sprawiało wrażenie po-

większej fotografii z dowodu osobistego. Twarz o regularnych rysach. Czarne włosy zaczesane do tyłu. Wysokie czoło. Martine i Jacques de Bavière oglądali inne fotografie przedstawiające tego samego mężczyznę w rozmaitych ujęciach, samego lub w towarzystwie innych osób.

– Czym on się zajmuje? – zapytał nieśmiało.

– Pracuje w całkiem przyzwoitym zawodzie – oznajmił Ansart, nie udzielając żadnych dodatkowych wyjaśnień. – Zaczekacie więc na tego mężczyznę i przekażecie mu wiadomość ode mnie... Kawiarnia jest w Neuilly, niedaleko Lasku Bulońskiego.

– A co potem? – zapytała Gisèle.

– A potem macie wolne. A że nie mam zwyczaju zatrudniać ludzi za darmo, proponuję każdemu z was po dwa tysiące franków za fatygę.

– Bardzo panu dziękuję, ale nie potrzebuję pieniędzy – oznajmiłem.

– Bzdura. W waszym wieku zawsze się potrzebuje pieniędzy... – Ton był ojcowski, a spojrzenie tak ciepłe, że natychmiast poczułem do tego człowieka sympatię.

Popołudnie było słoneczne, ale o tej porze roku już około piątej robi się ciemno. Ansart życzył sobie, byśmy zjedli kolację w jego restauracji w północnej części szesnastej dzielnicy, przy rue Belles-Feuilles. Ansart, Martine i Jacques de Bavière wsiedli do czarnej limuzyny. Jechaliśmy za nimi. Sobotni Paryż świecił pustkami.

– Czy sądzisz, że możemy mu wyświadczyć przysługę, o którą prosił? – spytałem.

– To nas do niczego nie zobowiązuje.

– A oprócz prowadzenia restauracji, czy wiesz, czym się jeszcze zajmuje?

– Nie.

– A swoją drogą to ciekawe...

– Tak sądzisz?

Wzruszyła ramionami. Dogoniliśmy ich na czerwonym świetle przy boulevard Suchet. Samochody stanęły obok siebie. Martine, siedząca z tyłu, uśmiechnęła się do nas. Ansart i Jacques de Bavière byli najwyraźniej pochłonięci rozmową. Jacques de Bavière wskazującym palcem strząsnął popiół przez opuszczoną do połowy szybę.

– Byłaś już kiedyś w tej restauracji?

– Tak. Dwa czy trzy razy. Znam ich, jak wiesz, od niedawna.

W istocie znała ich zaledwie od trzech tygodni, więc w zasadzie nic nas z nimi nie łączyło, chyba że coś przede mną ukrywała. Zapytałem, czy zamierza podtrzymywać tę znajomość. Wyjaśniła mi, że Jacques de Bavière był od samego początku bardzo dla niej miły i nawet pożyczył jej pewną sumę pieniędzy.

– Czy to nie z ich powodu byłaś przesłuchiwana przez policję?

Sam nie wiem, skąd mi to nagle przyszło do głowy.

– Ależ skąd!

Zmarszczyła brwi, rzucając mi zakłopotane spojrzenie.

– Nie powinni się dowiedzieć, że byłam przesłuchiwana...

Wspomniała mi już o tym poprzedniego dnia, nie udzielając żadnych dodatkowych wyjaśnień.

– Dlaczego? Czyżby groziły im jakieś kłopoty?

Dodała gazu. Pies uniósł się ze swojego miejsca na tylnym siedzeniu i położył łeb w zagłębieniu mojego ramienia.

– Wezwali mnie, ponieważ znaleźli moje nazwisko na liście gości hotelowych. Ale tak czy owak miałam zamiar sama się do nich zgłosić.

– Dlaczego?

Wyprzedziliśmy limuzynę Ansarta i Jacques'a de Bavière. Jechaliśmy bardzo szybko i odniosłem wrażenie, że przejechaliśmy na czerwonym świetle. Czułem oddech psa na szyi.

– Odeszłam od męża, ale on nie przestawał szukać ze mną kontaktu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy, które spędziliśmy razem, bez przerwy mi groził... Zeznałam wszystko na policji...

– Mieszkałaś z nim w Saint-Leu-la-Forêt?

– Nie.

Odpowiedź była oschła i lakoniczna. Najwyraźniej żałowała, że w ogóle mi jej udzieliła. Zaryzykowałem kolejne pytanie:

– Jaki był twój mąż?

– Och... Taki jak wszyscy...

Zrozumiałem, że nic więcej z niej nie wyciągnę. Tymczasem tamci już nas doganiali. Jacques de Bavière opuścił boczną szybę i krzyknął w naszą stronę:

– Czy wam się wydaje, że jesteście na rajdzie Vingt-Quatre-Heures du Mans?

Wyprzedzili nas, po czym zwolnili. Ona też. Jechaliśmy tuż obok siebie, szyba w szybę.

– Czy po kolacji będziemy mogli wybrać się we dwoje do Lasku Bulońskiego? – zapytałem.

– Oczywiście. Nie musimy z nimi siedzieć...

Byłem szczęśliwy, że mi to powiedziała. Czułem się uzależniony od ludzi dorosłych i ich dobrej woli. Sześć lat szkoły i perspektywa wojska sprawiały, że smakowałem z rozkoszą każdą chwilę wolności, czując się jednocześnie jak dezertor.

– To prawda... Nie musimy się przed nimi tłumaczyć.

Ta uwaga ją rozśmieszyła. Czułem nadal oddech psa na szyi. Od czasu do czasu jego szorstki język lizał moje ucho.

Restauracja nosiła nazwę ulicy, przy której się znajdowała: „Les Belles Feuilles”.

Niewielka salka. Jasna boazeria. Mahoniowy bar. Stoliki nakryte białym obrusem, siedzenia wyłożone czerwonym moleskinem.

W restauracji było trzech konsumentów. Przyjął nas kelner, brunet lat około trzydziestu pięciu, w białej marynarce. Miał na imię Rémy. Wskazał nam jeden ze stolików w głębi sali. Gisèle nie rozstawała się ze swoim futrem. Zapytała Ansarta:

- Czy znajdzie się coś do jedzenia dla psa?
- Naturalnie.

Przywołał Rémy'ego, po czym wszyscy zamówiliśmy potrawę dnia. Ansart wstał i podszedł do gości. Rozmawiał z nimi z przesadną kurtuazją. Po krótkiej chwili wrócił do naszego stolika.

- I co pan sądzi o moim lokalu? - zapytał, obdarzając mnie swym szerokim uśmiechem.

- Bardzo mi się podoba.

- Była tu kiedyś spelunka, do której uczęszczałem w czasie wojny, gdy byłem w waszym wieku. Nie wyobrażałem sobie wtedy, że zdołam ją przeobrazić w przyzwoitą restaurację. - Wydawał się skłonny do zwierzeń. Czyżby z powodu mojej

nieśmiałości? Mojego czujnego wzroku? Mojego wieku, który przywodził mu na myśl własną młodość? – Od dziś może się pan tu stołować.

– Dziękuję.

Jacques de Bavière poszedł do baru zatelefonować. Wsparty o kontuar sprawiał wrażenie samego szefa.

– Moi klienci to bardzo porządni ludzie. Okoliczni mieszkańcy...

– Czy pani również zajmuje się prowadzeniem restauracji? – zapytałem Martine.

– Pomagała mi trochę przy wystroju wnętrza.

Czułym gestem położył dłoń na jej ramieniu. Bardzo byłem ciekaw, jak się ze sobą poznali i jak nawiązała się znajomość między Ansartem a Jacques'em de Bavière. Ansart musiał być od niego przynajmniej dziesięć lat starszy. Wyobraziłem go sobie, jak będąc w moim wieku wchodzi pewnego listopadowego wieczoru do tego lokalu, który nie nazywał się jeszcze wtedy „Les Belles Feuilles”. Ciekawe, co w tym czasie robił w tej dzielnicy?

*

Po obiedzie postaliśmy jeszcze chwilę na chodniku. Gisèle wyjaśniła im, że wybieramy się z psem na spacer do Lasku. Ansart chciał odwiedzić Jacques'a de Bavière do domu, na rue Washington, ale wytłumaczyliśmy mu, że nie ma takiej potrzeby, bo Jacques może już zabrać samochód. On jednak upierał się, że nam go zostawi. To było bardzo miłe z jego strony.

Zapytałem Ansarta, w jakim miejscu konkretnie mamy wypełnić naszą tajemniczą misję. Dowiedziałem się, że kawiarnia mieści się przy rue de la Ferme, na skraju Lasku.

– Chcecie zrobić rekonesans? Bardzo słusznie. Tak jest znacznie bezpieczniej. Lepiej poznać wcześniej wszystkie wyjścia awaryjne.

Poklepał mnie po ramieniu. Twarz rozpyływała mu się w uśmiechu. Minęliśmy Porte Dauphine i skierowaliśmy się w stronę jezior w Lasku Bulońskim. Samochód zaparkowaliśmy przed Pavillon Royal. Było słoneczne sobotnie popołudnie późnej jesieni, podobne do sobót mojego dzieciństwa, gdy autobusem 63 zatrzymującym się przy Porte de la Muette przyjeżdżałem w to samo miejsce o tej samej porze roku. Przy okienku, w którym wypożyczano łódki, stał już spory tłumek. Spacerowaliśmy wzdłuż jeziora. Pies spuszczonej ze smyczy biegł przed nami. Gdy tylko zaczynał zbyt szybko się oddalać, wołała: Raymond!, i pies natychmiast zawracał. Minęliśmy przystań, z której odpływa łódź motorowa, i skierowaliśmy się w stronę Châlet des Iles.

– Czy koniecznie musimy dziś jeszcze widzieć się z nimi?

– Tak będzie lepiej... – odpowiedziała. – Mogą nam pomóc... A poza tym pożyczili nam samochód.

– Czy sadzisz, że powinniśmy zgodzić się na to, o co nas proszą?

– Boisz się?

Wzięła mnie za rękę i poszliśmy alejką wśród drzew, która z każdym krokiem stawała się węższa.

– Jeśli wyświadczymy Pierre’owi przysługę, możemy go prosić, o co tylko chcemy. Pierre jest bardzo miły...

– O co na przykład?

– Żeby nam pomógł w podróży do Rzymu.

Widać nie zapomniała o mojej propozycji. W kieszeni miałem przewodnik po Rzymie, do którego zdążyłem już kilkakrotnie zajrzeć.

– Mnie też będzie w Rzymie lepiej niż tutaj – powiedziała.

Chciałem, żeby mi wreszcie wyjaśniła do końca swoją sytuację.

– A co obecnie dzieje się w twoim mężem?

Przystanęła. Pies wspiął się na skarpe i obwąchiwał pnie drzew. Ścisnęła mnie mocniej za rękę.

– Próbuje mnie odnaleźć, ale na razie mu się nie udało. A ja ciągle się boję, że się w końcu na niego natknę.

– Jest w Paryżu?

– Czasami bywa.

– Czy Ansart i Jacques de Bavière orientują się w sytuacji?

– Nie. Ale powinnam być dla nich miła. Potrafią mnie przed nim obronić.

– A czym on się zajmuje?

– Och... To zależy...

Znaleźliśmy się w pobliżu Carrefour des Cascades. Szliśmy wzdłuż drugiej strony jeziora. Niewiele mi o sobie powiedziała prócz tego, że wyszła za męża mając dziewiętnaście lat i że mąż był od niej starszy. Zaproponowałem, byśmy podjechali samochodem w to miejsce, w którym mieliśmy się wywiązać z zadania, które nam zlecił Ansart. Pojechaliśmy na skróty przez las aż na obrzeża Neuilly i wjechaliśmy w rue de la Ferme. Miejscem spotkania okazał się bar restauracyjny na rogu rue Longchamp. Ostatnie promienie słońca snuły się po chodniku. Dziwnie się czułem w tym miejscu. Znałem te okolice. Bywałem tu z moim ojcem i jednym z jego przyjaciół, a potem z Charellem i Karvé, kolegami ze szkoły. Na rue de la Ferme nie było ani jednego spacerowicza, a ujeżdżalnie wyglądały na opuszczone.

*

Gdy wracaliśmy do Ansarta, było już ciemno. Ansart i Jacques de Bavière siedzieli na czerwonym tapczanie, podobnie jak za pierwszym razem. Martine przyniosła z kuchni tacę z herbatą i ciasteczkami.

Fotografie leżały nadal na niskim stoliku. Wziąłem pierwszą z brzegu, ale okazała się tą, którą już widziałem.

– Sądzi pan, że zdołamy go rozpoznać? – spytałem Ansarta.

– Oczywiście. Jutro wieczorem na pewno nie będzie tam tłumów... Poza tym podam wam szczegół, który rzuca się w oczy: facet z całą pewnością będzie miał na sobie bryczesy.

Zdołem się na odwagę i nabrawszy głęboko powietrza spytałem:

– A dlaczego sam pan tam nie pójdzie?

Ansart spojrział na mnie wzrokiem smutnym i bardzo łagodnym, który dziwnie kontrastował z jego szerokim uśmiechem.

– Zaraz wszystko wyjaśnię. Nie jestem umówiony z tym facetem na jutro... To będzie niespodzianka.

– Miła niespodzianka?

Nie odpowiedział. Myślę, że gdyby nie jego łagodne spojrzenie, mógłbym odczuwać pewien niepokój. Martine nalala nam herbaty. Ansart ujął w dwa palce kostkę cukru i wrzucił ją do filiżanki Gisèle. Następną kostką uraczył mnie.

– Nie przejmujcie się – powiedział Jacques de Bavière, przyglądając się z roztargnieniem jednej z fotografii. – Chcemy mu zrobić kawał...

Nie byłem o tym do końca przekonany, ale siedząca obok mnie Gisèle uznała to za zupełnie naturalne. Popijała herbatę małymi łydkami. Sięgnęła po kostkę cukru i dała ją psu.

– Czy ten pan jeździ konno? – spytałem, żeby przerwać milczenie.

Jacques de Bavière skinął głową twierdząco.

– Poznałem go na ujeżdżalni przy rue de la Ferme, gdzie wynajmuję boks dla mojego konia.

Gisèle zwróciła się w moją stronę i pragnąc najwyraźniej zmienić ton rozmowy, oznajmiła:

– Jacques ma bardzo ładnego konia. Nazywa się Plaine au Cerf.

– Nie wiem, jak długo jeszcze będę go miał – odparł Jacques de Bavière. – Utrzymanie konia jest bardzo kosztowne, a rzadko mam okazję korzystać z przyjemności jazdy.

Nie miał podmiejskiego akcentu Ansarta. Fakt, że posiadał własnego konia, zaintrygował mnie. Byłem też ciekaw jego mieszkania przy rue Washington i owej „macochy”, o której wspomniała Gisèle.

– Jeśli chodzi o jutrzejszy dzień, to możecie albo wpaść najpierw tutaj, albo jechać prosto na rue de la Ferme – oznajmił Ansart. – Pamiętajcie... spotkanie jest o szóstej... A to dla pana i pańskiej siostry...

Wręczył mi dwie koperty, których nie odważyłem się nie przyjąć.

*

Zatrzymaliśmy się na końcu Champs-Élysées, gdzie mieliśmy niemałe trudności z zaparkowaniem samochodu. Powietrze było tak świeże jak w wiosenne wieczory sobotnie. Postanowiliśmy iść do kina, ale nie chcieliśmy zostawiać psa w samochodzie. Pomyślałem, że w kinie „Napoleon” przy Grande-Armée są bardziej wyrozumiali, jeśli chodzi o psy, niż w tych luksusowych salach kinowych. I rzeczywiście, zarówno kasjerka, jak i bileterka wpuściły psa bez protestu. Film nosił tytuł *L'Aventurier du Rio Grande*.

Po wyjściu z kina zaproponowałem kolację w restauracji. Miałem wciąż przy sobie siedem tysięcy pięćset franków od Dell'Aversana, a do tego jeszcze dwie koperty od Ansarta, z których każda zawierała dwa tysiące franków. Restauracje przy Champs-Élysées onieśmiały mnie, toteż wolałem, żeby sama wybrała odpowiedni lokal.

– Moglibyśmy pojechać na rue Washington
– zaproponowała Gisèle.

Zaoponowałem mówiąc, że moglibyśmy natknąć się tam na Jacques'a de Bavière, ale prędko rozwiała moje obawy, oznajmiając, że Jacques zostanie długo u Ansarta i wróci do domu bardzo późno.

Siedzieliśmy przy oknie.

– Jacques mieszka naprzeciwko.

Wskazała bramę oznaczoną numerem 22.

Chciałem zapomnieć o ich istnieniu, ale póki byliśmy w Paryżu, wydawało się to niemożliwe. Twierdziła, że ci ludzie mogą nam pomóc, a ja pragnąłem jej wierzyć. Chciałem tylko dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

– Byłaś kiedyś w mieszkaniu Jacques'a de Bavière? – spytałem.

– Tak. Wiele razy.

– Ciekaw jestem, jak mieszka...

– Jego macocha na pewno jest w domu.

Po kolacji przeszliśmy na drugą stronę ulicy i stanęliśmy pod numerem 22. Zawahałem się:

– Chyba nie warto...

Nalegała. Powiemy macosze, że byliśmy umówieni z Jacques'em, albo po prostu, że przechodziliśmy obok i postanowiliśmy wpaść.

– Czy nie za późno na wizyty? Znasz tę kobietę?

– Trochę.

Weszliśmy do bramy. Gisèle nacisnęła dzwonek do jednego z mieszkań na parterze. Tuż nad dzwonkiem, na niewielkiej srebrnej tabliczce, było wygrawerowane imię i nazwisko: Ellen James. Damski głos zapytał:

– Kto tam?

W drzwiach był judasz. Musiała nas obserwować.

– Jesteśmy przyjaciółmi Jacques'a – odpowiedziała Gisèle.

W otwartych drzwiach stała blondynka lat około czterdziestu pięciu, w czarnej jedwabnej sukni. Na szyi miała sznur pereł.

– Ach, to pani... – zwróciła się do Gisèle. – Nie poznałam.

Spojrzała na mnie pytająco.

– To mój brat – oznajmiła Gisèle.

– Wejdźcie...

Kinkiety z matowego szkła słabo oświetlały przedpokój. Na kanapie pod ścianą leżały rzucone byle jak okrycia damskie i męskie.

– Nie wiedziałam, że ma pani psa – powiedziała, zwracając się do Gisèle.

Wprowadziła nas do dużego salonu, którego balkonowe okna wychodziły na ogród. Z głębi sąsiedniego pokoju dochodził gwar rozmów.

– Mam przyjaciół na brydżu. Jacques'a nie ma w domu.

Nie zaproponowała, byśmy zdjęli okrycia. Miałam wrażenie, że za chwilę wróci do swoich gości i zostawi nas samych w tym salonie.

– Nie wiem, o której wróci... – W jej wzroku czaił się niepokój. – Czy widziała się pani z nim dzisiaj? – spytała, zwracając się do Gisèle.

– Tak. Byliśmy razem na obiedzie. Pan Ansart zabrał nas do swojej restauracji.

Blondynka wyraźnie się odprężyła.

– Nie widziałam go rano... wyszedł bardzo wcześnie...

Była bardzo ładną kobietą, ale pamiętam, że tamtego wieczoru wydała mi się tak stara jak moi rodzice. Takie samo uczucie wzbudził we mnie Ansart. Jacques de Bavière natomiast przywodził na myśl młodych chłopców, którzy wyruszali na wojnę w Algierii, gdy miałem szesnaście lat.

– Wybaczcie mi, proszę, muszę wracać do gości.

Szybkim spojrzeniem obrzuciłem salon. Błękitne tapety, parawan, kominek z jasnego marmuru, wszędzie szkła i lustra. Przy konsoli dywan był całkowicie przetarty, a na jednej ze ścian widniały ślady po niedawno zdjętym obrazie. Za oknami księżyc oświetlał korony drzew, a ogród zdawał się nie mieć końca.

– Można by pomyśleć, że jest się na wsi, prawda? – powiedziała blondynka, przechwytyjąc mój wzrok. – Ogród ciągnie się aż do zabudowań przy rue de Berri...

Miałem ochotę zapytać ją prosto z mostu, czy rzeczywiście jest macochą Jacques'a de Bavière. Odprowadziła nas do drzwi.

– Czy mam Jacques'owi coś przekazać?

W jej głosie wyczuwało się roztargnienie. Widocznie śpieszyła się do gości.

*

Było jeszcze wcześniej. Ludzie stali w kolejce do kina „Normandia” na drugi seans wieczorny. Szliśmy z psem aleją.

– Czy ty naprawdę sądzisz, że to jego macocha? – spytałem.

– On tak twierdzi. Podobno prowadzi w domu klub brydżowy, a on jej czasem pomaga.

Klub brydżowy. To znakomicie tłumaczy nieprzyjemne uczucie, jakiego doznałem w tym mieszkaniu. Nie byłbym zdziwiony, gdyby na meblach były pokrowce. Zauważyłem nawet stosy pism na niskim stoliku, zupełnie jak w poczekalni u dentysty. A więc mieszkanie zajmowane przez Jacques'a de Bavière i jego domniemaną macochę było w istocie klubem brydżowym. Pomyślałem o ojcu. On też chętnie oddałby się podobnemu zajęciu, a Grabley służyłby mu za sekretarza i portiera w jednej osobie. Oni wszyscy należeli do tego samego świata.

Znaleźliśmy się pod arkadami „Lido”. Ogarnęła mnie przemożna chęć ucieczki z tego miasta, jak gdyby osaczało mnie jakieś niebezpieczeństwo.

– Co ci jest? Jesteś taki blady...

Przystanąła. Nieustannie ktoś nas potrącał. Pies podniósł łeb i patrzył na nas, on też zdawał się niespokojny.

– Nic takiego... Chwilowe oszołomienie...

Zmusiłem się do uśmiechu.

– Chciałbyś usiąść na chwilę i napić się czegoś?

Wskazała taras jakiejś kafejki, ale czułem, że jeśli usiądę wśród tego tłumu, to zacznę się dusić. Zresztą i tak nie było wolnego miejsca.

– Nie... chodźmy dalej... zaraz mi przejdzie...

– Wziąłem ją za rękę. – A nie wolałabyś, żebyśmy od razu wyjechali do Rzymu? Zanim będzie za późno?

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma.

– Dlaczego od razu? Lepiej żeby Ansart i Jacques najpierw nam pomogli. Bez nich niewiele zdziałamy...

– Może przejdziemy na drugą stronę? Tam jest spokojniej...

Istotnie, po lewej stronie było mniej ludzi. Szliśmy w kierunku Etoile, gdzie zaparkowaliśmy samochód. Dziś, gdy usiłuję sobie przypomnieć tamten wieczór, widzę dwie sylwetki z psem idące w górę ulicy. A wokół nich tłum spacerowiczów zaczyna się przeredzać, kafejki pustoszeją, gasną neony kin. Tej nocy śniłem, że siedzę na tarasie jednej z kafejek przy Champs-Elysées wśród nielicznych zapóźnionych gości. W sali wygaszono już światła, a kelner ustawia krzesła na stołach, dając nam do zrozumienia, że pora opuścić lokal. Wychodzę. Idąc w stronę Etoile słyszę daleki głos, który do mnie mówi: „Lepiej żeby Ansart i Jac-

ques najpierw nam pomogli” – jej głos był jak zawsze poważny i lekko zachrypnięty.

*

Na boulevard Conti paliło się światło w gabinecie. Czyżby Grabley zapomniał je zgasić, wychodząc na „obchód”?

Idąc w półmroku przez korytarz, wraz z psem, usłyszeliśmy wybuchy śmiechu.

Szliśmy na palcach, a Gisèle trzymała psa za obrożę. Mieliśmy nadzieję przemknąć niezauważenie na schody, ale w chwili gdy mijaliśmy uchylone drzwi gabinetu, niespodziewanie wyłonił się z nich Grabley z kieliszkiem w dłoni. Na nasz widok drgnął. Stał w drzwiach i ze zdziwieniem przyglądał się psu.

– No proszę... Jego nie znam...

Czyżby za dużo wypił? Ceremonialnym gestem zaprosił nas do środka. Na kanapie siedziała młoda drobna brunetka o krótkich włosach i okrągłej buzi. U jej stóp stała butelka szampana. Trzymała w ręce kieliszek, a nasz widok nie wywołał w niej żadnego zmieszania. Grabley dokonał prezentacji.

– Sylvette.. Obligado i panna...

Uśmiechnęła się do nas.

– Mógłby pan zaproponować im szampana – zwróciła się do Grableya. – Niezręcznie tak pić samej.

– Pójdę po kieliszki...

Nie znajdzie ich w kuchni. Zostały tylko dwa: jego i tej dziewczyny. Będzie musiał zadowolić się filiżankami albo nawet kubkami z kartonu, jakich używaliśmy już od kilku tygodni.

– Proszę się nie trudzić – powiedziałem.

Pies zbliżył się do brunetki. Gisèle przytrzymała go za obrożę.

– Proszę go puścić... bardzo lubię psy...

Pogłaskała go po łbie.

– Zgadnijcie, gdzie poznałem Sylvette? – zapytał Grabley.

– Sądzi pan, że ich to interesuje? – rzuciła.

– Poznałem ją w „La Tomate”...

Gisèle zmarszczyła brwi. Obawiałem się, że za chwilę odwróci się na pięcie i wyjdzie.

Drobna brunetka upiła łyk szampana dla nabrania kontenansu.

– Nie znasz „La Tomate”, Obligado?

Przypomniałem sobie, że przechodziłem obok tego lokalu co niedzielę wieczór, idąc po matkę, która grała w jednym z teatrzyków dzielnicy Pigalle.

– Jestem tancerką – powiedziała z zakłopotaniem. – Zaangażowano mnie tam na razie na dwa tygodnie... ale nie zamierzam zostać... To niedobry spektakl...

– Wprost przeciwnie – zaprotestował Grabley.

Zaczerwieniła się i spuściła oczy.

To było idiotyczne, że odczuwała przed nami skrępowanie. Przypomniałem sobie niedzielne wieczory, gdy obchodziłem Paryż na piechotę, z lewego brzegu na Pigalle, i ten neon na rogu ulicy Notre-Dame-de-Lorette, błyskający kolejno czerwonym, zielonym i niebieskim światłem.

LA TOMATE STRIP-TEASE NON STOP

Trochę dalej znajdował się teatr „Fontaine”, gdzie moja matka grała w wodewilu pod tytułem *La Princesse parfumée*. Pamiętam powroty ostatnim autobusem do mieszkania przy boulevard Conti, niemal tak samo ogołoczonego jak teraz.

– Niech żyje „La Tomate”! – Grabley uniósł w górę kieliszek.

Brunetka uniosła swój, przyjmując to jak wyzwanie. Nie zareagowaliśmy. Ani ja, ani Gisèle, ani pies. Stuknęli się kieliszkami. A potem zapadło milczenie. Staliśmy wszyscy, oświetleni bladym światłem zwisającej u sufitu żarówki, jakbyśmy świętowali jakieś tajemnicze obchody.

– Proszę mi wybaczyć – powiedziała Gisèle – ale padam ze zmęczenia.

– Jutro, czyli w niedzielę, możemy wszyscy iść do „La Tomate”, żeby obejrzeć Sylvette – zaproponował Grabley.

Znów pomyślałem o tamtych niedzielnych wieczorach.

*

Spałem niespokojnym snem. Od czasu do czasu budziłem się nagle, żeby sprawdzić, czy wciąż jest jeszcze przy mnie. Miałem gorączkę. Pokój przeobraził się w przedział kolejowy. W szybie pojawiały się sylwetki Grableya i brunetki. Stali na peronie, czekając na odjazd pociągu. Trzymali w rękach kartonowe kubki i zwołnionym ruchem unosili je w górę. Słyszałem zduszony głos Grableya: „Jutro wieczorem w «La Tomate»”... Wiedziałem, że tam nie pójdziemy, bo przecież opuszczamy Paryż na zawsze. Pociąg ruszył. Po raz ostatni mignęły w mroku ciemne zabudowania przedmieścia. Leżeliśmy przytuleni na kuszetce, wstrząsani gwałtownymi szarpnięciami wagonów. Nazajutrz pociąg zatrzyma się na zalanym słońcem peronie.

Była niedziela. Wstaliśmy późno i czuliśmy się zagrypieni. Trzeba było poszukać jakiejś dyżurującej apteki i kupić aspirynę. Zresztą i tak powinniśmy wyprowadzić psa.

Grabley już wyszedł. Zostawił mi wiadomość w widocznym miejscu, na kanapie w gabinecie.

Mój drogi Obligado,
śpisz jeszcze, a tymczasem ja muszę iść na mszę na godzinę jedenastą do Saint-Germain-des-Prés. Dziś rano dzwonił twój ojciec, ale bardzo źle go słyszałem, ponieważ dzwonił z budki telefonicznej: słychać było klaksony i ruch uliczny, zagłuszające rozmowę.

Zresztą połączenie zostało przerwane, ale pewien jestem, że zadzwoni ponownie. Chyba niełatwo mu w Szwajcarii. Odradzałem mu ten wyjazd. To trudny kraj dla kogoś bez odpowiednich środków finansowych...

Oczekujemy was dziś wieczorem w „La Tomate”. Dwa ostatnie spektakle rozpoczną się o godzinie dwudziestej i dwudziestej drugiej trzydziści. Wybór zostawiamy wam. Potem zjemy razem kolację. Do zobaczenia.

Henri

Dyżurującą aptekę znaleźliśmy przy Saint-André-des-Arts. Wpadliśmy do kawiarni na bulwarze, żeby popić aspirynę, po czym spuściwszy psa ze smyczy przespacerowaliśmy się do Pont de la Tour-nelle.

Podobnie jak poprzedniego dnia było bardzo pogodnie, tyle że znacznie chłodniej. Jak w słoneczny lutowy dzień zwiastujący rychłe nadejście wiosny. Z lubością pieściłem w sobie to złudzenie, bo perspektywa spędzenia zimy w Paryżu bez żadnej pewności, czy zdołam zachować mieszkanie, wzbudzała we mnie niejaki niepokój. W trakcie spaceru poczuliśmy się znacznie lepiej. Obiad zjedliśmy w hotelu „Le Relais Bisson” przy boulevard des Grands-Augustins. Na widok cen postanowiliśmy ograniczyć się do zupy, deseru i siekanego mięsa dla psa. Popołudnie spędziliśmy, wylegując się na łóżku na piątym piętrze, a potem słuchaliśmy radia w gabinecie. Pamiętam, że była to audycja poświęcona muzyce jazzowej.

Nagle czar prysnął. Za godzinę mieliśmy być na miejscu, które wyznaczył nam Ansart.

– A gdybyśmy tak wystawili go do wiatru?

Czułem, że się waha i jest gotowa ustąpić.

– W takim razie musimy zniknąć im z oczu, a samochód zostawić na rue Raffet...

Sięgnęła po papierosa. W paczce były camele, które musiał zostawić Grabley. Zapaliła i głęboko zaciągnęła się dymem. Zakasłała. Pierwszy raz widziałem ją z papierosem.

– Nierozsądnie byłoby z nimi zadzierać...

Byłem rozczarowany, że zmieniła zdanie. Zgniotła papierosa w popielniczkę.

– Zrobimy to, czego od nas oczekują, a potem zażadam od Ansarta dużej sumy pieniędzy i będziemy mogli wyjechać do Rzymu.

Odniosłem wrażenie, że mówi tak tylko po to, by mnie przekonać, ale sama w to nie wierzy. Ostatni promień słońca przesunął się na cypelek wyspy, w sam koniec ogrodu Vert Galant. Przechodnie na bulwarach byli coraz mniej liczni, a bukiniści zamykali kramy. Usłyszałem, jak zegar Instytutu wybija piątą.

Postanowiliśmy zostawić psa w mieszkaniu i starać się jak najprędzej po niego wrócić. Ale gdy tylko zamknęliśmy za sobą drzwi, zaczął szczeleć i skamleć. Byliśmy zmuszeni go zabrać. Gdy dojeżdżaliśmy do Lasku Bulońskiego, było jeszcze widno. Zjawiliśmy się przed czasem, więc zatrzymaliśmy się obok dawnego Château de Madrid i ruszyliśmy polaną porośłą tu i ówdzie piniami w stronę stawu Saint-James, gdzie pewnej zimy, gdy byłem mały, oglądałem łyżwiarzy. Zapach wilgotnej ziemi i zapadający zmierzch znów przypomniały mi dawne niedzielne wieczory, wzbudzając głuchy żal, podobny do tego, jaki odczuwałem na myśl o powrocie do szkoły. Oczywiście teraz sytuacja była inna, spacerowałem bowiem po Lasku Bulońskim z nią, nie z ojcem czy przyjaciółmi, Charellem i Karvé. A jednak coś podobnego unosiło się w powietrzu, ten sam zapach, no i to, że była niedziela.

– Idziemy... – powiedziała.

Wydawała się trochę przygnębiona. Unikając jej wzroku, nie spuszczałem oczu z psa, który biegł tuż przed nami. Zapytałem, czy weźmiemy samochód. Odpowiedziała, że nie warto.

Poszliśmy piechotą wzdłuż rue de la Ferme. Prowadziła psa na smyczy. Minęliśmy bramę domu Charellów, potem ujeżdżalnię Howletta, która sprawiała wrażenie opuszczonej. Charellowie musieli się wyprowadzić. Należeli do tej kategorii ludzi, którzy nigdzie nie potrafią zagrześć dłużej miejsca. Ciekawe, gdzie mógł być tego wieczoru Alain Charell? Może gdzieś w Meksyku? Słyszałem daleki stukot kopyt. Odwróciłem się: na końcu ulicy pojawiło się dwóch jeźdźców, których sylwetki zaledwie mogłem rozróżnić. Czy jednym z nich był człowiek, z którym mieliśmy właśnie się spotkać? Pomału zbliżali się w naszym kierunku. Był jeszcze czas, by zawrócić z drogi, wziąć samochód i odstawić go pod dom przy rue Raffet, a potem zniknąć bez śladu razem z psem.

Ścisnęła mnie mocno za ramię.

– To nie potrwa długo – powiedziała.

– Tak sądzisz?

– Jak tylko porozmawiamy z facetem, wychodzimy z kawiarni i niech dalej sami sobie z nim radzą.

Dwaj jeźdźcy skręcili w prawo, w małą uliczkę o nazwie rue Saint-James. Stukot kopyt ucichł.

Staaliśmy przed wejściem do kawiarni. Tam, gdzie rue de la Ferme dochodzi do Sekwany, dostrzegłem samochód Ansarta. Ktoś stał oparty o błotnik. Czyżby Jacques de Bavière? Nie byłem pewien. Dojrzałem dwie sylwetki siedzące z przodu.

Weszliśmy do środka. Byłem zaskoczony bogatym wystrojem wnętrza, bo spodziewałem się znaleźć zwyczajną kawiarnię. Tymczasem bar i stoliki były z mahoniowego drewna, fotele obite lekko podniszczoną skórą, a ściany wyłożone boazerią. W kominku z cegieł płonął ogień. Zajęliśmy stółik najbliższy wejścia. Wokół nas siedziało kilku gości,

lecz w żadnym z nich nie rozpoznałem mężczyzny z fotografii.

Pies grzecznie leżał u naszych stóp. Zamówiliśmy dwie kawy, od razu regulując rachunek, by móc wyjść, gdy tylko przekazemy wiadomość nieznanemu. Gisèle wyjęła z kieszeni prochowca papierosy Grableya i zapaliła jednego. Nerwowo zaciągnęła się dymem. Jej ręka drżała.

Zapytałem:

- Boisz się?
- Skądże!

Otworzyły się drzwi i weszły trzy osoby: kobieta i dwóch mężczyzn. Jednym z nich był ten człowiek ze zdjęcia: szerokie czoło, bardzo ciemne włosy zaczesane do tyłu.

Toczyli ożywioną rozmowę. Kobieta raz po raz wybuchała śmiechem.

Zajęli stół w głębi sali, niedaleko kominka. Mężczyzna zdjął granatowy płaszcz. Nie miał na sobie bryczesów.

Gisèle rozgniotła papierosa w popielniczce. Siedziała z opuszczoną głową. Czyżby unikała wzroku tego człowieka?

Siedział twarzą do nas, przy stoliku w głębi sali. Jego towarzysze, brunetka około trzydziestki i blondyn o wąskiej twarzy i orlim nosie, siedzieli do nas profilem. Kobieta mówiła dosyć głośno. Mężczyzna wydawał się młodszy niż na powiększonej fotografii do dowodu osobistego.

Wstałem od stolika. Miałem wilgotne dłonie. Podszedłem do nich. Przerwali rozmowę.

Nachyliłem się w jego stronę:

- Mam przekazać panu wiadomość.
- Wiadomość od kogo?

Miał nieco piskliwy timbre głosu, jakby przydużony, i sprawiał wrażenie zirytowanego, że go zaczepiam:

– Od pana Ansarta. Czeka na pana w samochodzie za rogiem.

Wyprostowałem się; wypowiedziałem to zdanie, starając się artykułować słowa jak najwyraźniej.

– Ansart?

Jego twarz wyrażała zakłopotanie. Sprawiał wrażenie kogoś, kto w najmniej stosownym momencie zostaje przywołany do porządku.

– I chce się ze mną widzieć akurat teraz?

– Tak.

Zatroskanym spojrzeniem obrzucił drzwi wejściowe.

– Przepraszam was na chwilę – zwrócił się do towarzyszy. – Pójdę tylko przywitać się ze znajomym, który czeka na zewnątrz.

Dwoje pozostałych spojrzało na mnie z góry: z powodu mojego młodego wieku czy też zaniedbanego ubioru?

Pomyślałem, że na pewno potrafiliby mnie rozpoznać. Czy zauważyli obecność Gisèle?

Wstał od stolika i włożył granatowy płaszcz.

Zwracając się do blondyna, powiedział:

– Zarezerwuj stolik na dziś wieczór... będzie nas ośmioro...

– To bez sensu – oznajmiła kobieta – mogę zorganizować kolację u mnie...

– Nie ma potrzeby... No to na razie...

Stałem przed nimi jak słup soli.

– Więc gdzie jest ten samochód? – zapytał.

– Pokażę panu.

Ruszyłem pierwszy w stronę wyjścia. Gisèle stała wraz z psem obok stolika. Mężczyzna wydał się zaskoczony jej obecnością. Otworzyłem drzwi i puściłem ich przodem.

Samochód stał bliżej niż przedtem. Zaparkowali go na rogu rue Longchamp. Jacques de Bavière czekał oparty o maskę. Ansart wysiadł, zostawia-

jąc otwarte drzwiczki, i pomachał do nas ręką. Ulica była oświetlona. W zimnym, przejrzystym powietrzu odcinały się wyraźnie zarysy fasad, ściany domów i sylwetka samochodu. Mężczyzna zbliżał się do nich, podczas gdy my staliśmy nieruchomo na chodniku. Mężczyzna zapomniał o nas. Wyciągnął rękę w kierunku Ansarta.

– Co za niespodzianka... – powiedział.

Mężczyzna i Ansart rozmawiali, stojąc na środku ulicy. Docierał do nas jedynie szmer ich głosów. Moglibyśmy do nich podejść. Wystarczyło zrobić kilka kroków. Ale odniosłem wrażenie, że gdybyśmy ruszyli im naprzeciw, przekroczylibyśmy strefę bezpieczeństwa. Zresztą ani Ansart, ani Jacques de Bavière nie zwracali na nas najmniejszej uwagi. Znaleźli się nagle bardzo daleko, w zupełnie innym wymiarze. I dziś, gdy przywołuję tę scenę, która na zawsze wyryła mi się w pamięci, powiedziałbym: w innym czasie. Nawet pies, choć spuszczonej ze smyczy, stał przy nas bez ruchu, jakby i on wyczuwał niewidzialną granicę między nimi i nami. Jacques de Bavière otworzył drzwi, wpuścił mężczyznę do środka i zajął miejsce obok niego. Ansart usiadł z przodu. Ten, który siedział przy kierownicy, ani na chwilę nie opuścił samochodu i nie byłem w stanie rozpoznać rysów jego twarzy. Trzasnęły drzwiczki. Wóz zawrócił i jadąc rue de la Ferme skierował się w stronę Sekwany. Śledziłem go wzrokiem, aż zniknął na zakręcie.

*

Zapytałem Gisèle:

- Jak sądzisz, dokąd jadą?
- Zabierają go na rue Raffet...
- Przecież powiedział znajomym, że zaraz wraca...

A jednak nie wpełnęli go siłą do samochodu. To pewnie Ansart podczas krótkiej rozmowy na środku ulicy zdołał go przekonać, by im towarzyszył.

– Może powinienem uprzedzić tych dwoje, żeby na niego nie czekali – mruknąłem.

– Nie... Nie powinniśmy się do tego mieszać...

Byłem zaskoczony jej kategorycznym tonem i odniosłem wrażenie, że wie wiele więcej niż ja.

– Może lepiej ich poinformować?...

– Nie... Będą w stosunku do nas nieufni... będą nas wypytywać...

Wyobraziłem sobie, jak stoję przed nimi i usiłuję wyjaśnić, że ich przyjaciel odjechał cudzym samochodem. Zasypaliby mnie gradem pytań, coraz dociekliwszych i natarczywych:

Widział pan, jak odjeżdżał? Z kim?

Kto panu kazał przekazać tę wiadomość?

Gdzie ten ktoś mieszka?

Kim pan jest?

Widziałem już siebie obezwładnionego lawiną słów i przykutego do miejsca bez możliwości wykonania jakiegokolwiek ruchu, tak jak to się zdarza w koszmarnym śnie.

– Nie powinniśmy tu stać – powiedziałem.

Mogli wyjść w każdej chwili, by sprawdzić, co się stało z ich przyjacielem. Ruszyliśmy rue de la Ferme w kierunku Lasku. Na wysokości dawnego domu Charella zacząłem się zastanawiać, co by na to wszystko powiedział Alain.

Czułem się bardzo nieswojo. Ten mężczyzna zostawił dwoje przyjaciół, mówiąc im: „Na razie”. Potem wsadzono go do samochodu, który ruszył w kierunku Sekwany. Ona i ja byliśmy nie tylko świadkami, ale także przyczyniliśmy się do jego zniknięcia. Wszystko to zdarzyło się na jednej z ulic Neuilly, w pobliżu Lasku Bulońskiego,

w dzielnicy, która przywodziła mi na myśl całkiem inne niedziele... Spacerowałem po Lasku w towarzystwie mojego ojca i jego przyjaciela, wysokiego szczupłego mężczyzny, po którym pozostały jedynie pelisa i blezer pochodzące z najlepszego okresu jego życia, noszone zamiennie zależnie od pory roku. Już wówczas zauważyłem, że jego ubrania były bardzo zniszczone. Wieczorem odprowadzaliśmy go do hoteliku w Neuilly, który sprawiał raczej wrażenie prywatnej kwatery. Jego pokój, jak twierdził, był niewielki, ale wygodny.

– O czym myślisz?

Wzięła mnie pod rękę. Szliśmy wzdłuż łąki porośniętej tu i ówdzie piniami. Gdybyśmy poszli na przelaj, szybciej dotarlibyśmy do miejsca, gdzie stał nasz samochód. Ale było zbyt ciemno. Oświetlony był jedynie boulevard Richard-Wallace. Rozmyślałem nad sylwetką tego mężczyzny, nad jego uśmiechem i twarzą ledwie naznaczoną przez czas. A jednak już po krótkiej chwili dawało się zauważyć, że był nieodłącznie zrośnięty ze swoim blezerem i wytartą pelisą i że gdzieś w środku jego istoty pękła jakaś sprężyna. Kim był? I co się z nim stało? Na pewno zniknął tak jak tamten przed chwilą.

*

Zapaliła silnik i ruszyliśmy w stronę Jardin d'Acclimatation. Obserwowałem oświetlone okna mijanych domów. Stała na czerwonym świetle na avenue de Madrid. Zmarszczyła brwi. Czuła się równie nieswojo jak ja. Fasady domów kusily jasno oświetlonym wnętrzem. Szkoda, że nikogo nie znaleźliśmy. Moglibyśmy zadzwonić do drzwi któregoś z tych przytulnych mieszkań. Zostalibyśmy zaproszeni na kolację w towarzystwie dystyngowanych, budzących zaufanie osób. Przypomniałem sobie, co powiedział tamten mężczyzna:

– Zarezerwuj stolik na dziś wieczór... Będzie nas ośmioro...

Czy nie doczekawszy się jego powrotu, zrobili mimo wszystko to, o co prosił? W takim razie siedmiu biesiadników oczekiwałoby nadejścia ósmego. Ale jego miejsce pozostałoby puste. Restauracja czynna w niedzielę wieczorem... Chodziliśmy do takiej, ojciec, jego przyjaciel i ja. Mieściła się przy place de l'Etoile. Zjawialiśmy się tam dość wcześnie, około dziewiętnastej trzydzieści. Goście zaczynali się schodzić, gdy my kończyliśmy już kolację. Któregoś niedzielnego wieczoru weszła grupa niezwykle eleganckich osób i pamiętam, że mimo moich jedenastu lat byłem oszołomiony urodą kobiet. Wzrok jednej z nich zatrzymał się nagle na przyjacielu mojego ojca. Miał na sobie swój wytarty blezer. Wydała się ogromnie zaskoczona jego widokiem, ale już po chwili jej twarz odzyskała beznamiętny, nieprzenikniony wyraz. Usiadła wraz z przyjaciółmi przy odległym stoliku. On zbladł. Nachylił się do mojego ojca i wypowiedział zdanie, które na zawsze utkwilo mi w pamięci:

– To była Gaëlle... poznałem ją natychmiast... Ale ja bardzo się zmieniłem od zakończenia wojny...

Dojechaliliśmy do Porte Maillot. Odwróciła się do mnie.

– Dokąd chcesz jechać?

– Nie wiem...

Byliśmy obydwoje zbici z tropu. Czy dzwonić do Ansarta i próbować dowiedzieć się czegoś więcej? Przecież mieliśmy nie mieszać się do ich spraw. Wolałbym nigdy więcej nie oglądać tych ludzi i jak najszybciej opuścić Paryż.

– Teraz powinniśmy wyjechać do Rzymu – powiedziałem.

– Przecież nie mamy dosyć pieniędzy.

Miałem przy sobie siedem tysięcy pięćset franków, które dał mi Dell'Aversano, i cztery tysiące franków od Ansarta. To stanowiło wystarczającą sumę. Nie ośmieliłem się jej zapytać, ile ma pieniędzy.

Powtórzyłem raz jeszcze, że w Rzymie obiecano mi stałą pracę i że nie będziemy mieć żadnych problemów. W końcu udało mi się ją przekonać.

– Ale musimy wziąć ze sobą psa – oznajmiła.

– Oczywiście...

Po chwili zastanowienia dodała:

– Najwygodniej byłoby jechać samochodem. I jeśli nawet nie spytamy ich o pozwolenie, to i tak nie będą mogli wnieść skargi...

Zaśmiała się nerwowo. Rzeczywiście, nie wnieśliby przeciw nam skargi, jako że tego samego wieczoru zostaliśmy ich współnikami, a na naszym milczeniu na pewno musiało im zależeć. Ta myśl przyprawiała mnie o dreszcze. Przecież to ja wypowiedziałem słowa: „Mam panu przekazać wiadomość od pana Ansarta. Czeka na pana w samochodzie za rogiem.” I to w obecności dwóch świadków. I wziąłem za to pieniądze.

Musiałem mieć dziwny wyraz twarzy, bo otoczyła mnie ramieniem i poczułem na policzku jej wargi.

– Nie martw się – szepnęła mi na ucho.

– Zajrzymy do Grableya?... Będzie około dziewiętej w „La Tomate”.

Słowo *tomate* miało w sobie coś pocziwego i uspokajającego.

– Jeśli chcesz...

Ze strony Grableya, rzecz jasna, nie spodziewałem się najmniejszego moralnego wsparcia. Pod pewnymi względami był podobny do mojego ojca: obaj nosili zwyczajne garnitury, krawaty i pantofle. Mówili bez najmniejszego akcentu, palili papierosy, pili kawę i jadali ostrygi. Ale będąc

w ich towarzystwie, miało się ochotę ich dotknąć, tak jak dotyka się materiału, żeby sprawdzić, czy istnieją naprawdę.

– Sądysz, że mógłby coś dla nas zrobić? – zapytała.

– Kto wie?

Było jeszcze za wcześnie na spotkanie z Grableyem. Mieliśmy przed sobą dwie godziny. Po lewej stronie zauważyłem oświetloną fasadę kina „Maillot Palace” i zaproponowałem obejrzenie filmu, który właśnie grali, a który nosił tytuł *Królowa prerii*. Bileterka nie robiła żadnych uwag na temat psa. Gdy tylko zajęliśmy miejsca w fotelach obitych czerwonym pluszem, mój niepokój się rozwiął.

*

Ulica Notre-Dame-de-Lorette była pusta i ciemna. O tej porze ludzie kończyli kolację i kładli się spać. Nazajutrz czekała ich szkoła i praca. Neon „La Tomate” mrugał na próżno. Ulica zdawała się wymarła. Kto mógłby wybrać się na spektakl w niedzielę wieczorem? Marynarz na przepustce w oczekiwaniu na nocny pociąg ze stacji Saint-Lazare do Cherbourga?

Bileterka wskazała nam drogę za kulisy. Mieścili się pod sceną. Zeszliśmy po schodach prowadzących do niewielkiego hallu, którego ściany zdobiły stare afisze. Grabley stał przy drzwiach, prowadzących do garderób, w swoim garniturze à la księżę Walii i zamszowym krawacie. Wydawał się zatroskany.

– Jaka miła niespodzianka... to ładnie, że przyszliście...

Wyznał nam, że Sylvette jest w fatalnym humorze i że właśnie przebiera się w swojej garderobie. Dobrze, że przyszliśmy teraz, bo spektakl o dzie-

siątej trzydzieści się nie odbędzie. zaproponował nam przejście na widownię. Odpowiedziałem, że wolelibyśmy zostać tu z nim, zwłaszcza że i tak nie wpuszczono by nas z psem.

– Wiele tracicie.

Był wyraźnie urażony naszym brakiem zainteresowania tym widowiskiem. W otwartych drzwiach garderoby stanęła Sylvette. Miała na sobie futro z czarnych wilków i gorset przypominający skórę pantery. Przywitała się z nami dosyć chłodno. Następnie, zwracając się do Grableya oznajmiła, że nie musi czekać na nią za kulisami. Wystarczająco wstydziła się tego spektaklu, by jeszcze w dodatku ktoś odprowadzał ją za kulisy i przesiadywał w jej garderobie... Podniosła głos. Tak jest, każdy w miarę wrażliwy człowiek zrozumiałby, że dla tancerki marnowanie zdolności jest czymś upokarzającym, ale trzeba jakoś zarabiać na życie, skoro jest zdana tylko na siebie. Potem czyniła mu wyrzuty, że jeszcze nas tu ściągnął. Przecież ona nie jest zwierzęciem z cyrku ani z zoo, które przychodzi się oglądać w niedziele. Grabley stał z opuszczoną głową. Zostawiła nas tam, gdzie staliśmy, i ruszyła ku schodom. Gdy tak szła po nich, kołysząc się na wysokich obcasach, przyszedł mi na myśl ktoś, kogo już gdzieś widziałem: oczywiście, ta naga dziewczyna uczesana w koński ogon, której zdjęcie widniało na okładce jednego z pism w gabinecie ojca, to była ona! Grabley odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła. Zabrzmiały pierwsze takty muzyki meksykańskiej. Pewnie wchodziła na scenę.

– Jest trudna, bardzo trudna... – stwierdził Grabley.

Gisèle i ja wymieniliśmy spojrzenia i omal nie wybuchnęliśmy śmiechem. Na szczęście nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Oglupiały patrzył

w kierunku schodów, jakby zniknęła na zawsze. Nie byliśmy pewni, czy nie powinniśmy zostawić go samego. Przestało mi się chcieć śmiać. Może z powodu żółtawego światła i starych pożółkłych afiszy? Ten wyblakły świat kabaretu i meksykańskiej muzyki był przecież światem starego mężczyzny w garniturze w pepitkę, którego właśnie splawiono. W powietrzu unosił się smutek.

Znów pomyślałem o ojcu. Wyobraziłem go sobie w takiej samej sytuacji, gdy w swoim granatowym płaszczu wyczekuje pod drzwiami garderoby podobnego lokalu, jakiegoś „Kit Cata” czy „Karuzeli” w Genewie lub Lozannie. Przypomniałem sobie ostatnią wspólną Wigilię. Miałem wtedy piętnaście lat. Przyjechał po mnie do szkoły w Sabaudii, bo nie mogłem tam zostać przez całe ferie. W Genewie czekała na niego kobieta, młodsza o dwadzieścia lat Włoszka o bardzo jasnych włosach, i wszyscy troje poleciliśmy samolotem do Rzymu. Z tego pobytu pozostała fotografia, którą odkryłem trzydzieści lat później na dnie jakiegoś kufra pełnego papierów. Utrwaliła na zawsze obraz sylwestrowej nocy spędzanej w nocnym lokalu przy via Veneto, dokąd zaciągnęła nas owa Włoszka po okropnej scenie, jaką zrobiła mojemu ojcu. Jej krzyki słyszeć było w całym hotelu.

Na parkiecie kilka tańczących par. Siedzimy przed butelką zmrożonego szampana – mężczyzna o ciemnych włosach gładko zaczesanych do tyłu, na twarzy wyraz wymuszonej wesołości; obok niego kobieta, lat około trzydziestu, mocno upudrowana, o jasnych natapirowanych włosach uczesanych w kok i młody chłopak w za dużym, wypożyczonym smokingu, z nieobecny spojrzaniem, typowym dla dziecka, które znalazło się w nieodpowiednim dla siebie towarzystwie, bo nie

ma nic do powiedzenia i nie może robić tego, na co ma ochotę. I jeśli chciałem wrócić do Rzymu, to po to, by wymazać tę przeszłość.

– Idziemy stąd? – zapytała Gisèle.

Pies zaczął się niecierpliwie kręcić. Wszedł na schody, ale widząc, że nie idziemy za nim, wrócił i położył się przy podeście. Grabley gwałtownie otrząsał się z przygnębienia.

– Chyba nie zamierzacie wyjść? Sylvette będzie niepokieszona... I jeszcze bardziej trudna...

Nie miałem dla niego litości. Przypominał mi ojca, jasne włosy tej kobiety i tę sylwestrową noc. Teraz już mogłem robić, co chciałem.

– Nie możemy zostać – powiedziałem. – Muszę odwieźć Gisèle do Saint-Leu-la-Forêt.

– Naprawdę nie chcecie zjeść z nami kolacji?

Miał tak samo zatroskaną twarz jak mój ojciec, gdy znaleźliśmy się na via Veneto. Kobieta o jasnych włosach miała nadąsaną minę. Nagle ruszyła przed siebie wielkimi krokami, a potem zaczęła biec, jakby chciała nas zgubić. Mój ojciec powiedział:

– Szybko... Dogoń ją... bądź dla niej miły... Powiedz jej, że bardzo ją kochamy... że jej potrzebujemy... i daj jej to...

I wsunął mi do ręki małą paczuszkę owiniętą srebrzystym papierem. Pobiegłem. Byłem wówczas taki młody. Teraz na wspomnienie tej niedalekiej przecież przeszłości odczuwałem rodzaj smutku zmieszanego z obojętnością. Nic się już nie liczyło. Ani ojciec, ani Grabley, ani ten facet, którego wywieziono samochodem. Niech ich wszystkich szlag trafi.

Na ulicy poczułem się lekki i wyzwolony ze wszystkiego. Pragnąłem, by Gisèle dzieliła ze mną ten nastrój. Otoczyłem ją ramieniem i ruszyliśmy w stronę samochodu.

Pies biegł przed nami. Zaproponowałem raz jeszcze, byśmy niezwłocznie, w tej chwili wyjechali

do Rzymu. Ale okazało się, że zostawiła pieniądze w jednej z walizek. Nie pozostawało nic innego, jak podjechać na boulevard Conti i załadować walizki do bagażnika.

– Jak chcesz – powiedziała.

Wreszcie, podobnie jak ja, odzyskała bez troski nastrój.

Jedna myśl sprawiła, że wróciłem natychmiast na ziemię. Byłem nieletni, musiałem więc postarać się o odpowiedni formularz, na którym będę mógł podrobić podpis ojca, który musi wyrazić zgodę na mój wyjazd za granicę. Nie miałem odwagi jej tego wyznać.

– Dziś wieczór nie możemy wyjechać – oznajmiłem. – Muszę przedtem zobaczyć się z tym Włochem i uzyskać od niego wszystkie informacje.

*

Teatr przy rue Fontaine był zamknięty. Tylko na końcu ulicy paliło się kilka świateł. Przejechawszy na chybił trafił kilka przecznic, zatrzymaliśmy się przed „Gavarny”. Zjedliśmy tam kolację. Początkowo obawiałem się spotkania z Grableyem i Sylvette, ale doszedłem do wniosku, że oni wolą miejsca bardziej uczęszczane. Byliśmy jedynymi konsumentami. Poznałem kelnera w białej marynarce, który nas obsługiwał, gdy jadałem tam kolację w towarzystwie mojej matki, w niedzielę po teatrze.

Gdy weszliśmy, siedział przy jednym ze stolików i rozwiązywał krzyżówkę. Zastanawiałem się, czy muzyka dochodzi z głośnika na końcu sali, czy z odbiornika radiowego: księżycowy dźwięk cymbałków. Pies ułożył się u moich stóp. Głaskałem go, by lepiej czuć jego obecność. Siadłem naprzeciw niej. Patrzyliśmy sobie w oczy. Przesunąłem delikatnie dłoń po jej twarzy. Bałem się, że zniknie. Od tej chwili byliśmy odcięci od wszyst-

kiego. Rzeczywistość wokół nas nie istniała. Ani Grabley, ani mój ojciec gdzieś tam w Szwajcarii, ani moja matka gdzieś na południu Hiszpanii, ani ludzie, z którymi się spotykałem, nic o nich nie wiedząc: Ansart, Jacques de Bavière... restauracja też wydawała się nierzeczywista, jak jedno z tych miejsc, które się kiedyś zwiedzało i do których powraca się we śnie.

Po wyjściu z „Gavarny” wsiadaliśmy z matką do autobusu 67 na placu Pigalle, którym jechaliśmy do Luwru. Od tamtej pory minęły trzy lata, ale wydawało mi się, że to było w innym życiu. Tylko kelner w białej marynarce pozostał ten sam. Miałem ochotę z nim porozmawiać, ale co mógłby mi właściwie powiedzieć?

– Uszczypnij mnie, żebym się przekonał, że nie śnię...

Uszczypnęła mnie w policzek.

– Mocniej.

Roześmiała się. Śmiech rozniósł się echem po pustej sali. Zapytałem, czy też ma wrażenie, że śni.

Kelner w białej marynarce powrócił do swojej krzyżówki. Nie spodziewał się więcej gości.

Wzięła mnie za rękę i spojrzała na mnie z uśmiechem w jasnoniebieskich oczach. Potem uniosła dłoń i uszczypnęła mnie w policzek, mocniej niż poprzednio.

– Zbudź się...

Kelner wstał i poszedł nastawić radio za kouturem. Rozległ się sygnał muzyczny i głos spikera czytającego wiadomości, ale do mnie docierał jedynie daleki szmer.

– Zbudziłeś się?

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Wolę pozostać w nieświadomości.

Po powrocie z wakacji, w niedzielne wieczory opiekun gasił światło w szkolnej sypialni za pięć-

naście dziewiąta. Sen nadchodził powoli. Budziłem się nagle w środku nocy, nie zdając sobie sprawy, gdzie jestem. Lampka nocna obejmująca niebieskawym światłem rzędy łóżek przywracała mnie brutalnie do rzeczywistości. Od tamtego czasu, ilekroć śnię, staram się opóźnić moment przebudzenia, z obawy że znajdę się znowu w szkolnej sypialni. Starałem się jej to wyjaśnić.

– Mnie też się to zdarza – powiedziała. – Boję się, że się obudzę w więzieniu...

Zapytałem, czemu więzieniu? Wydała mi się zmieszana. W końcu odpowiedziała:

– Nie wiem...

Po wyjściu z restauracji zawahałem się przez chwilę. Perspektywa powrotu na boulevard Conti wydała mi się nieznośna. Chciałem, byśmy oboje znaleźli się w miejscu, które nie miałoby nic wspólnego z przeszłością. Powiedziała, że to bez znaczenia i że ważne jest tylko to, że jesteśmy razem.

Jedziemy wzdłuż rue Blanche. I znów zdaje mi się, że śnię. Ogarnia mnie uczucie euforii. Samochód sunie bezszelestnie, jak gdyby zjeżdżał w dół na wyłączonym silniku. Przed nami pusta, rozjarzona światłami avenue de l'Opéra. Odwraca głowę w moją stronę:

– Jeśli chcesz, możemy wyjechać jutro.

Po raz pierwszy w życiu czuję, że pękają wszystkie krępujące mnie dotąd więzy i ograniczenia. Być może jest to tylko iluzja, która rozwieje się jutro rano. Opuszczam szybę. Chłodne powietrze potęguje jeszcze euforię. Blasku świateł alei nie przyćmiewa najlżejszy obłok pary. Wjeżdżamy na Pont du Carrousel i w moim wspomnieniu jedziemy wzdłuż bulwaru, lewą stroną, pod prąd. Mijamy Pont-des-Arts, sunąc powoli, a z przeciwka nie nadjeżdża żaden samochód.

Grableya jeszcze nie ma. Mijamy korytarz i mieszkanie odrywa się od przeszłości.

Wchodzę do niego po raz pierwszy. Ona mnie prowadzi. Wchodzi przede mną na schody wiodące na piąte piętro. Nie zapalamy światła w sypialni.

Uliczne latarnie rzucają jasny promień na sufit. Jest tak jasny jak ten, który przenika latem przez szpary w żaluzjach. Leży na łóżku ubrana w czarną spódnicę i czarny sweter.

Nazajutrz, gdy opuszczaliśmy mieszkanie, Grableya nadal nie było. Postanowiliśmy zwrócić samochód Ansartowi i nie widywać się więcej ani z nim, ani z Jacques'em de Bavière. Mieliśmy zamiar wyjechać tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

Usiłowaliśmy się do nich dodzwonić, ale u Ansarta nikt nie odpowiadał. W domniemanym mieszkaniu Jacques'a de Bavière też nie. Trudno. Byliśmy zdecydowani po prostu zostawić im samochód przy rue Raffet.

Był słoneczny jesienny dzień, równie pogodny jak poprzedni. Perspektywa wyjazdu wzbudzała we mnie uczucie lekkości i zadowolenia. Wiedziałem, że zostawiam za sobą jedynie rzeczy, których rozkład wydaje się nieuchronny: Grableya i puste mieszkanie... Musiałem odszukać formularz z minionego roku, którym posługiwałem się, wyjeżdżając do Belgii, przerobić w nim datę i kraj docelowy. W Rzymie na pewno uda mi się jakoś umknąć przed francuską biurokracją i obowiązkiem służby wojskowej.

Powiedziała, że może opuścić Francję bez problemu. Usiłowałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat jej męża. Nie widziała go już od dawna

– prawie od trzech miesięcy. Wyszła za mąż pod wpływem impulsu. Ale kim on właściwie był?

Popatrzyła mi w oczy i z wymuszonym uśmiechem powiedziała:

– Dziwny facet... Zajmuje się cyrkiem...

Zastanawiałem się, czy żartuje, czy mówi prawdę.

Wyraźnie oczekiwała z mojej strony jakiejś reakcji.

– Cyrkiem?

– Tak, cyrkiem...

Pojechał w objazd z cyrkiem, ale ona nie chciała mu towarzyszyć.

– Nie lubię o tym mówić...

Nie odzywaliśmy się więcej, aż do chwili gdy stanęliśmy przed budynkiem na rue Raffet. Zadzwoniliśmy do drzwi mieszkania. Nikt nie otwierał.

– Może są w restauracji – zasugerowała Gisèle.

Obserwowała nas jakaś kobieta. Stała u wejścia na podwórze i po chwili zaczęła iść w naszą stronę.

– Szukają państwo kogoś?

Ton był chłodny i podejrzliwy.

– Pana Ansarta – odpowiedziała Gisèle.

– Pan Ansart wyjechał z samego rana. Powierzył mi klucze do mieszkania. Wróci najwcześniej za trzy miesiące.

A zatem była to dozorczyńni.

– Nie powiedział, dokąd wyjeżdża? – zapytała Gisèle.

– Nie.

– I nie zostawił adresu?

– Powiedział, że przyśle mi wiadomość ze swoim nowym adresem. Może pani do niego napisać i zostawić mi list, a ja mu go pošlę.

Ton nieco złagodniał. Odprowadzała nas wzrokiem, gdy szliśmy z psem przez podwórze. Wyjazd

„pana Ansarta” uważała za całkowicie naturalny. Jeszcze będzie zadawać sobie pytania na temat tego człowieka, który sprawiał wrażenie uprzejmego i dobrze wychowanego. Potem inni zaczną jej zadawać pytania. Być może w tym samym gabinecie, w którym byliśmy przesłuchiwani, Giséle i ja. Poproszą ją, by sobie przypomniała każdy szczegół dotyczący Ansarta i jego znajomych. I wtedy sobie przypomni, że nazajutrz po jego zniknięciu jacyś młodzi ludzie z psem dzwoniли do drzwi jego mieszkania.

– Co robimy z samochodem? – zapytałem.

– Zatrzymujemy go.

Pogrzebała w skrytce i po chwili wyjęła z niej dowód rejestracyjny. Samochód był zarejestrowany na nazwisko Pierre Ansart, urodzony 22 stycznia 1921 roku w Paryżu, zamieszkały przy rue Raffet 14, w XVI dzielnicy.

Jechaliśmy wzdłuż Lasku Bulońskiego tą samą drogą, co w sobotę, gdy wybieraliśmy się do restauracji Ansarta. Trzymałem w ręce jego dowód rejestracyjny. Wjechaliśmy w rue Belles-Feuilles. Restauracja była zamknięta, a wejście zabite płytami wiórowymi pokrytymi złuszczoną zieloną farbą. Płyty sprawiały wrażenie, jakby pamiętały czasy, gdy restauracja „Belles Feuilles” była jeszcze – zgodnie ze słowami Ansarta – zwykłą spelunką.

Tym razem wydała się zaniepokojona. Musiał istnieć jakiś związek między nagłym zniknięciem Ansarta a wydarzeniami dnia poprzedniego, których byliśmy nie tylko świadkami.

– Myślisz, że Jacques de Bavière także wyjechał? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami. Przypomniałem sobie twarz Martine i sposób, w jaki machała do nas ręką, gdy tamtej nocy przechodziliśmy przez podwórze.

– A Martine? Czy można jakoś się z nią skontaktować?

O Martine nie wiedziała nic ponad to, że żyła z Ansartem od wielu lat. Przypomniała sobie jedynie jej nazwisko: Martine Gaul.

Wpadliśmy na chwilę do kawiarni przy rue Spontini, gdzie zamówiliśmy dwa sandwicze i dwa soki pomarańczowe. Wyjęła z torebki mały notesik i poprosiła, bym zadzwonił na rue Washington i sprawdził, czy jest tam Jacques.

– Halo... Kto mówi?

Poważny damski głos. Czy była to ta sama kobieta, z którą rozmawialiśmy w sobotę wieczorem?

– Chciałbym mówić z Jacques'em de Bavière...

– Kim pan jest?

Ton był oschły i czujny.

– Jesteśmy przyjaciółmi Jacques'a. Byliśmy u pani w sobotę wieczorem.

– Jacques wyjechał do Belgii.

– Na długo?

– Nie umiem powiedzieć.

– Czy pan Ansart pojechał razem z nim?

Zapanowało milczenie. Przez chwilę myślałem, że rozmowa została przerwana.

– Nie znam takiego. Przykro mi, ale muszę już pana pożegnać.

Odłożyła słuchawkę.

Więc wyjechali obydwaj. Z pewnością razem z Martine. Do Belgii albo gdzie indziej. Jak to sprawdzić?

– Czy jesteś pewna, że nazywa się de Bavière?
– zapytałem Gisèle.

– Tak. De Bavière.

I do czego mogła się przydać ta informacja? Na pewno nie było go w książce telefonicznej ani w almanachu gotajskim, na co wskazywać by mogło jego nazwisko.

Powiedziała, że chce zajrzeć w jeszcze jedno miejsce, gdzie uda się być może dowiedzieć czegoś o Ansarcie. Ruszyliśmy wzdłuż bulwarów. Nie miała zamiaru niczego mi wyjaśniać. Na place de la République skręciliśmy w boulevard du Temple i zatrzymaliśmy się na równoległej ulicy, położonej nieco niżej. Przed nami wznosił się gmach Cirque d'Hiver. Wskazała mi kawiarnię na tej samej ulicy, oddaloną o jakieś pięćdziesiąt metrów.

– Zapytasz faceta za kontuarem, czy ma wiadomości od pana Ansarta...

Dlaczego nie chciała mi towarzyszyć?

Idąc odwróciłem się, by sprawdzić, czy nadal jest i czeka. Nie wiem dlaczego przyszło mi do głowy, że gdy tylko wejść do kawiarni, zniknie tak jak tamci.

Kawiarnia nie miała nazwy. Jedyne na fasadzie widniała nazwa marki belgijskiego piwa. Wszedłem do środka. W głębi sali stały stoliki, przy których kilku gości jadło obiad. Za kontuarem stał wysoki brunet ze spłaszczonym nosem, ubrany w granatowy garnitur. Rozmawiał przez telefon. Czekałem. Podszedł do mnie kelner w ciemnoczerwonej marynarce.

– Poproszę wodę mineralną Vittel.

Rozmowa się przedłużała. Mężczyzna słuchał uważnie swojego interlokutora i od czasu do czasu odpowiadał „tak... tak... dobrze...” lub wydawał pomruki wyrażające przyzwolenie. Chcąc zapalić papierosa, unieruchomił słuchawkę między policzkiem i barkiem i spojrzał na mnie, ale nie byłem pewny, czy mnie widzi. Odłożył słuchawkę.

Zapytałem nieśmiało:

– Czy ma pan jakieś wiadomości od pana Ansarta?

Uśmiechnął się do mnie. Czuję jednak, że ten uśmiech jest jedynie maską i że facet nabiera do mnie dystansu.

– Zna pan pana Ansarta?

Młodzińczy głos przypominał timbrem głos Jeana Marais. Wyszedł zza kontuaru i opierając na nim łokieć, stanął tuż przy mnie:

– Tak, znam go i znam także Martine Gaul.

Dlaczego dorzuciłem ten szczegół? By nabrał do mnie zaufania?

– Byłem na rue Raffet, ale już wyjechali.

Przyglądał mi się życzliwie i nadal się uśmiechał. Elegancki krój garnituru i timbre głosu nie pasowały do tej kawiarni. Czy naprawdę był tu szefem?

– Wyjechali, ale na pewno wrócą. To wszystko, co mogę panu powiedzieć.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Z jego wzroku wyczytałem, że niczego więcej się od niego nie dowiem. Chciałem zapłacić za wodę mineralną, ale machnął ręką.

– Niech pan da spokój...

Osobiście otworzył drzwi i skinął głową na pożegnanie. Nadal się uśmiechał.

W samochodzie Gisèle zapytała:

– Co ci powiedział?

Musiała znać tego wiecznie uśmiechniętego mężczyznę. Na pewno spotkała go w towarzystwie Ansarta i Jacques'a de Bavière.

– Powiedział mi, że na pewno wrócą, ale nie chciał mi zdradzić żadnych szczegółów.

– To bez znaczenia. Tak czy owak nie zobaczymy ich więcej. Będziemy w Rzymie.

Jechaliśmy bulwarem aż do place de la Bastille. Byliśmy niedaleko sklepu Dell'Aversana. Zaproponowałem Gisèle, byśmy do niego wpadli, by ostatecznie dopiąć sprawę naszego wyjazdu.

– Byłaś już kiedyś w tej kawiarni? – zapytałem.

– Tak. I to nie raz.

Zawahała się chwilę, po czym powiedziała, jak gdyby z przymusem:

– Wtedy gdy mój mąż pracował w Cirque d’Hiver.

Zamilkła. Pomyślałem o człowieku w granatowym garniturze. Uderzył mnie ten jego uśmiech, który będę pamiętać jeszcze dziesięć lat później, gdy przez przypadek pewnego popołudnia znaję się w pobliżu Cirque d’Hiver. I nie będę się mógł powstrzymać, żeby nie wstąpić do tej kawiarni. Będzie to około roku 1973.

Zastanę go za kontuarem, nie tak eleganckiego jak za pierwszym razem, o rysach twarzy naznaczonych przez czas i posiwiałych włosach. Na ścianach liczne fotografie artystów cyrkowych, którzy byli gośćmi tej kawiarni. Niektóre z dedykacjami. Jedna z tych fotografii, większa od pozostałych, przyciągnie moja uwagę. Grupa ludzi przed kontuarem otaczająca blondynkę w stroju woltyżerki. A wśród nich Gisèle.

Tak samo jak za pierwszym razem zamówię wodę mineralną Vittel. W godzinach popołudniowych, gdy w kawiarni będzie panował przestój, będę jego jedynym gościem. Zapytam go w sposób brutalny:

– Znał pan tę dziewczynę?

Przejdę do niego za kontuar i wskażę Gisèle na fotografię. Moje zachowanie wcale go nie zdziwi. Bliżej przypatrz się zdjęciu.

– Owszem, znałem ją... Była bardzo młoda... Spędzała tutaj wieczory. Jej mąż pracował w cyrku... Czekala na niego... Wyglądała zawsze na znudzoną... To musiało być jakieś dziesięć lat temu...

– Co robił jej mąż?

– Należał do personelu cyrku. Był znacznie od niej starszy.

Odpowiedziałby na wszystkie pytania, które bym mu zadał. W tym czasie byłem jeszcze młody

i wyglądałem na nieśmiałego chłopca. A on na pewno miałby ochotę z kimś pogawędzić, by wypełnić czymś senne popołudniowe godziny. Zdawał się znacznie bardziej przystępny niż przed dziesięciu laty. Zatracił całą swoją tajemniczość, a raczej tajemniczość, którą mu wówczas przypisywałem. Przystojny mężczyzna w granatowym garniturze był już tylko szefem kawiarni przy rue Amelot, nieomal zwyczajnym człowiekiem pracy.

– Znał pan niejakiego Pierre’a Ansarta?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, a jego twarz pokryła dawna maska uśmiechu.

– Czemu pan pyta? Znał pan Pierre’a?

– Ta młoda dziewczyna przedstawiła mi go przed dziesięciu laty.

Zmarszczył brwi.

– Dziewczyna z fotografii?... Pierre musiał ją poznać tutaj... Często do mnie zaglądał...

– A młody człowiek nazwiskiem Jacques de Bavière, czy to panu coś mówi?

– Nie.

– Był przyjacielem Ansarta.

– Nie znałem wszystkich przyjaciół Pierre’a...

– Nie wie pan, co się z nim stało?

– Z Pierre’em? Nie wiem. Ale w Paryżu go nie ma.

Zamilkłem. Czekałem, że powie mi to samo co za pierwszym razem: że wyjechali, ale że na pewno wrócą. Przez uchylone drzwi wpadało słońce, malując jasne plamy na ścianach i pustych stolikach w głębi sali.

– Był pan bardzo zaprzyjaźniony z Ansartem?

Jego wzrok i uśmiech przybrały ironiczny wyraz.

– Poznaliśmy się w 1943 r. I tego samego roku wysłano nas obydwu do Centrali w Poissy... Jak pan widzi, nasza przyjaźń nie datuje się od wczoraj...

Milczałem. Po chwili dodał:

– Proszę się nie dziwić... Każdy może popełnić w młodości jakiś błąd...

Miałem ochotę mu powiedzieć, że byłem tu już przed dziesięciu laty, by go zapytać o wiadomości od Ansarta, których najwyraźniej nie chciał mi udzielić. Widocznie wtedy jeszcze musiał docho-
wać tajemnicy. Ale wszystko to już minęło i straci-
ło znaczenie.

– Widuje pan nadal tę dziewczynę?

Byłem zaskoczony pytaniem i wymamrotałem jakąś niejasną odpowiedź. Gdy znalazłem się sam na bulwarze, wybuchnąłem płaczem, jak głupiec.

Dojechaliśmy do Sekwany i ruszyliśmy wzdłuż quai des Célestins. Grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu papierosów, znalazłem dowód rejestracyjny Ansarta.

– Czy na tego faceta można liczyć? – spytała Gisèle.

– Tak. Mam wrażenie, że bardzo mnie lubi.

I rzeczywiście, gdy dziś się nad tym zastanawiam, potrafię lepiej ocenić uprzejmość, jaką okazywał mi Dell'Aversano. Był poruszony moją sytuacją rodzinną, jeśli w ogóle można użyć takiego słowa w okolicznościach, gdy rodzice kompletnie zaniedbują własne dziecko. Gdy po raz pierwszy do niego przyszedłem, zadał mi kilka pytań na temat moich studiów, radząc, bym je kontynuował, przekonany widocznie, że nastolatek pozostawiony samemu sobie na pewno źle skończy. Jego zdaniem zasługiwałem na coś więcej niż pokątne wyprzedawanie mebli u pierwszego lepszego handlarza starzyzną z Saint-Paul. Wyznałem mu, że marzę o pisaniu, i był przyjemnie zaskoczony, gdy oznajmiłem, że moją ulubioną książką jest zbiór korespondencji Stendhala zatytułowany: *Aux âmes sensibles*.

Siedział za biurkiem w głębi sklepu. Zaskoczony przyglądał się Gisèle i psu. Przedstawiłem Gisèle jako moją siostrę.

– Mam dla pana wszystkie informacje – oznajmił.

Pracę w Rzymie u jego kolegi księgarza mogłem rozpocząć dopiero za dwa miesiące.

– Wolałby pan jechać już teraz?

Nie miałem odwagi się przyznać, że dysponujemy samochodem, bo musiałbym mu wszystko od początku wyjaśniać i pokazać dowód rejestracyjny Ansarta. Może kiedy indziej... Wyznałem mu, że wybieramy się razem. Czy uwierzył, że jest moją siostrą? W jego twarzy nie wyczytałem żadnych oznak dezaprobaty. Po prostu zwrócił się do niej i zapytał:

– Zamierza pani szukać pracy w Rzymie?

Zapytał też, ile ma lat. Odpowiedziała, że dwadzieścia jeden. Wiedział również, ile ja mam lat, toteż wbijałem z całej siły paznokcie w zaciśnięte dłonie ze strachu, że w obecności Gisèle zrobi jakąś aluzję na ten temat.

– Znam nawet pana przyszły adres. Jeśli pan chce, poproszę mojego przyjaciela, żeby pozwolił się panu wprowadzić trochę wcześniej.

Podziękowałem mu. Czy byłoby możliwe, żeby siostra zamieszkała razem ze mną?

Przyjrzał nam się uważnie. Zgadłem, że próbuje się w nas dopatrzeć fizycznego podobieństwa i że go nie znajduje.

– To zależy – powiedział. – Czy pańska siostra pisze na maszynie?

– Tak – odpowiedziała Gisèle.

Byłem pewien, że kłamie. Nie mogłem jej sobie wyobrazić przy maszynie do pisania...

– Mój przyjaciel będzie potrzebował kogoś, kto pisze na maszynie po francusku... Zadzwoń do niego dziś wieczorem i zapytam o bliższe szczegóły.

Podniósł się z miejsca i zaproponował, byśmy się razem wybrali na kawę. Przeszliśmy obok samochodu, ale nie powiedziałem ani słowa. Gisèle solidarnie milczała. Jutro na pewno wszystko mu opowiem. Nie miałem prawa ukrywać czegokolwiek przed człowiekiem, który był nam tak życzliwy.

Zapytał, jak długo będę jeszcze mógł mieszkać przy boulevard Conti.

– Nie dłużej niż trzy tygodnie...

Nie mogłem zrozumieć, jak ojciec i matka mogli zostawić na łasce losu chłopca pasjonującego się literaturą, którego ulubioną lekturą była książka zatytułowana *Aux âmes sensibles*. Jeszcze bardziej zdumiewał go fakt, że zachowanie moich rodziców uważałem za zupełnie normalne i że nawet nie przyszło mi na myśl, że mógłbym się od nich spodziewać jakiegokolwiek pomocy.

– Musi pan urządzić się w Rzymie najpóźniej za trzy tygodnie, a siostra powinna zamieszkać z panem.

Za sposobu, w jaki powiedział słowo „siostra”, wyczułem, że nie dał się nabrać.

– Czy pańska siostra też kocha literaturę?

Gisèle była najwyraźniej speszona. Od chwili kiedyśmy się poznali, nigdy nie rozmawialiśmy o literaturze.

– Właśnie jej dałem do czytania *Aux âmes sensibles* – powiedziałem.

– I jak się pani podoba? – zapytał Dell’Aversano.

– Bardzo.

Obdarzyła go uroczym uśmiechem. Było słonecznie i ciepło jak na tę porę roku. Siedzieliśmy przy jedynym stoliku na tarasie. Dzwon kościoła Saint-Gervais wybił właśnie dwunastą.

– A więc zna pan nasz przyszły adres w Rzymie? – zapytałem.

Dell'Aversano wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Via Frescobaldi 7.

Zwrócił się do Gisèle:

– Zna pani Rzym?

– Nie – odpowiedziała.

– Więc nie spędzała tam pani sylwestra wspólnie z bratem, gdy miał piętnaście lat?

Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech.

– W jakiej dzielnicy znajduje się via Frescobaldi? – spytałem.

– Zaraz panu wytłumaczę.

Posługując się długopisem, narysował na koperce dwie równoległe kreski.

– To jest via Veneto... Via Veneto pan zna...

Opowiedziałem mu kiedyś, jak na polecenie ojca próbowałem dogonić natapirowaną, mocno upudrowaną blondynkę, która nam uciekła.

– Pójdzie pan via Pinciana wzdłuż ogrodów Villa Borghese... – Rysował kolejne kreski i wskazywał nam drogę końcem długopisu. – Skręci pan w lewo, idąc nadal wzdłuż Villa Borghese, i trafi pan na via Frescobaldi... to tutaj... – Narysował krzyżyk. – Zaletą tej dzielnicy jest ogromna ilość zieleni... Pańska ulica znajduje się tuż obok ogrodu zoologicznego...

Nie mogliśmy oderwać wzroku od planu, który naszkicował. Upalnym latem szliśmy z Gisèle wśród cienistych drzew na via Frescobaldi.

Na kanapie w gabinecie przy boulevard Conti Grabley zostawił dla mnie wiadomość:

Mój drogi Obligado,
był do ciebie telefon około 14. Dzwonił jakiś mężczyzna, który twierdził, że jest z policji. Zostawił swoje nazwisko: Samson, i numer telefonu, pod którym możesz go zastać: TURBIGO 92-00.

Mam nadzieję, że nie masz sobie nic do zarzucenia.

Wczorajszy wieczór zakończył się lepiej, niż przewidywałem, i bardzo żałowaliśmy, że was nie było. Czy zechcielibyście przyjść na spektakl o 22.30, a potem spędzić z nami resztę wieczoru?

Twój Grabley

Spytałem Gisèle, czy powinienem zadzwonić od razu, żeby się dowiedzieć, czego chce ode mnie ten facet. Orzekliśmy wspólnie, że to on powinien zadzwonić.

Popołudnie upłynęło na oczekiwaniu. Obydwoje próbowaliśmy opanować zdenerwowanie. Zmiałem i podałem wiadomość od Grableya, gdzie

było napisane: „Mam nadzieję, że nie masz sobie nic do zarzucenia.”

– Myślisz, że oni wiedzą, co robiliśmy wczoraj po południu?

Gisèle wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. Chyba była spokojniejsza ode mnie. Rozłożyliśmy na podłodze plan Rzymu i próbowaliśmy zaznajomić się z dzielnicą, przyswajając sobie nazwy ulic, pomników i kościołów leżących w pobliżu naszego przyszłego domu: Porta Pinciana, Kościół Świętej Teresy, Świątynia Esculapa, Muzeum Kolonialne... Nikt nas tam nie znajdzie. Wkrótce dzień zaczął chylić się ku końcowi, a my leżeliśmy na kanapie. Wstała i włożyła czarną spódnicę i czarny sweter.

– Pójdę po papierosy.

Chciała, żebym został i czekał na telefon. Poprosiłem ją, żeby mi kupiła wieczorne wydanie jakiejś gazety. Obserwowałem ją przez okno. Nie wzięła samochodu. Szła krokiem nonszalanckim, trzymając ręce w kieszeniach rozpiętego prochowca. Zniknęła za rogiem gmachu Mennicy. Położyłem się na kanapie. Usiłowałem przypomnieć sobie meble, które stały kiedyś w gabinecie.

Zadzwoił telefon. W słuchawce odezwał się głuchy, monotony głos.

– Dzwonię w imieniu pana Samsona, który w ostatni czwartek prosił pana o kilka informacji. Tuż po panu była przesłuchiwana pewna dziewczyna... Spotkaliście się później w kawiarni „Soleil d’Or”...

Zawiesił głos. Nie odzywałem się. Nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa.

– Ostatnie cztery dni spędziliście razem, a teraz mieszka u pana... Chciałbym pana przestrzec...

W gabinecie panował półmrok. Głuchy głos mówił dalej.

– Nie wie pan o wielu rzeczach dotyczących tej osoby... Przypuszczam, że podała panu fałszywe nazwisko... Nazywa się Suzanne Kraay...

Odruchowo przeliterował nazwisko: K.R.A.A.Y. Miałem wrażenie, że słucham głosu z taśmy, podobnego do zegarynki.

– Popełniła już kilka wykroczeń, za które przesiadziała kilka miesięcy w więzieniu Petite-Roquette... Ukryła to przed panem, jak sądzę... Pewnie ukryła i to, że jest zamężna...

– Wiem o tym – odparłem, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie.

W słuchawce zapanowało milczenie.

– Na pewno nie o wszystkim.

– To mnie nie interesuje – powiedziałem.

– Ale mnie interesuje, a pan zapomina, że jest nieletni... – Głos znów stał się głuchy i daleki.

– I wiele pan ryzykuje...

Słyszałem trzaski, jak gdyby mój rozmówca znajdował się na końcu świata. Trzaski umilkły i głos stał się w jednej chwili wyraźny i całkiem bliski.

– Chciałbym panu w skrócie wszystko opowiedzieć, żebyśmy mieli klarowny obraz sytuacji. To leży w pańskim interesie. Musi pan wiedzieć, na co się naraża jako osoba nieletnia. Czy zechce się pan ze mną spotkać?

Ostatnie zdanie wypowiedział tonem miękkim, a jednocześnie autorytatywnym, typowym dla szkolnych opiekunów.

– Dobrze – odpowiedziałem.

– Dziś wieczór o godzinie dziesiątej, tuż koło pana... W kawiarni na bulwarze, naprzeciw kolumnady Luwru... Widać ją z pańskich okien... A zatem czekam o dziesiątej... Nazywam się Guélin.

Przeliterował swoje nazwisko, po czym odłożył słuchawkę.

Ja też odłożyłem. Jeszcze zanim mi się przedstawił, jego głos przypominał mi mężczyznę, którego spotykałem w soboty, chodząc do Ogrodu Luksemburskiego lub do kina „Danton”. Nosił szary dres i wychodził z sali gimnastycznej. Blondyn, lat około czterdziestu, o krótko ostrzyżonych włosach i zapadniętych policzkach. Pewnego popołudnia odezwał się do mnie w jednej z tych smutnych kafejek przy Carrefour de l'Odéon. Był pisarzem i dziennikarzem. Powiedziałem mu, że chciałbym też pisać, w przyszłości. Rzucił mi pogardliwy uśmiech:

– To wymaga pracy... mnóstwa pracy... Nie sądzę, by się pan do tego nadawał...

I podał mi przykład słynnego młodego tancerza, którego ogromnie podziwiał i który „ćwiczył przy drążku dwadzieścia cztery godziny na dobę”.

– Tak samo z pisanem... dwadzieścia cztery godziny ćwiczeń na dobę... Nie wiem, czy starczy panu siły woli... Nawet nie warto próbować.

Prawie mnie przekonał.

– Mógłbym panu dać coś do przeczytania.

Wyznaczył mi spotkanie u siebie w domu, przy rue du Dragon. Były to dwa pokoje o ścianach pobielonych wapnem, z belkami z ciemnego drewna, wiejskim stołem tego samego koloru i twardeymi krzesłami o wysokich oparciach. Miał na sobie dres. Napisał mi dedykację w książce, której tytułu nie pamiętam. Ku mojemu najwyższemu zdumieniu polecił mi lekturę *Dziewcząt Montherlanta*. Potem chciał mnie odwieźć do domu swoim samochodem, dauphine gordini. W ciągu następnych miesięcy widywałem nocami z okien mojego pokoju ten sam niebieski samochód z białymi pasami, parkujący przed naszym domem. Bałem się.

Wyrzależem, czy przypadkiem nie znajde go pod oknami dzisiejszej nocy. Nie. Bylo pusto i cicho. Zapadla noc. Wolalem swiatlo latarni pelzajace po scianach od przytlumionego swiatla zarowki zwisajacej u sufitu. Zaczalem sie bac, ze Gisèle juz nie wróci. Glos, który slyszalem w sluchawce, spotegowal jedynie uczucie samotnosci i opuszczenia. Znakomicie pasowal do tego gabinetu, którego mebli nie moglem sobie nawet przypomniec.

Więzienie Petite-Roquette... Pewnego dnia spacerowalem po ulicy o tej samej nazwie i przeszedlem obok gmachu więzienia. Często w moich snach rue de la Roquette konczy sie placem, takim jakie sa w Rzymie z fontanną pośrodku. I zawsze jest lato. Plac jest pusty i zatopiony w sloncu. Cisze zaklóca jedynie szmer fontanny. A ja stoję w cieniu i czekam, az Gisèle wyjdzie z więzienia.

Trzasnęly drzwi wejsciowe: rozpoznałem jej kroki. Stala przede mną w rozpiętym prochowcu. Zapalila swiatlo. Zauwazyła, ze mam dziwny wyraz twarzy.

– Dzwonil jakis facet.

– I co?

Powiedzialem jej, ze jakis facet chcial dowiedziec sie czegoś o moim ojcu i ze umowilem sie z nim o dziesiatej w kawiarni naprzeciwko, po tamtej stronie Sekwany.

– To nie potrwa dlugo.

Ujalem jej twarz w dlonie i pocałowalem. Nieważne, czy nazywala sie Gisèle, czy Suzanne Kraay i czy siedziala w Petite-Roquette. Gdybym ja wtedy znal, na pewno nie przepuscilbym okazji, by móc sie z nią zobaczyc w więziennej rozmównicy. Jesli nawet popelnila zbrodnie, bylo mi to obojęt-

ne w tej chwili, gdy tak stała przede mną żywa i zdrowa w czarnej spódnicy i swetrze.

– Nie boisz się, że może nas przydybać? – zapytała na ucho.

Początkowo sądziłem, że mówi o tym człowieku, który telefonował, ale miała na myśli Grableya.

– Nie. Jest w „La Tomate”.

Mimo to przesunęliśmy kanapę tak, żeby blokowała drzwi do gabinetu.

Widziałem światła w kawiarni po drugiej stronie Sekwany, na rogu bulwaru. Czy ten człowiek już tam był? Żałowałem, że nie mam lornetki, by móc go obserwować. On też mógł widzieć z kawiarni, czy w oknach mieszkania pałą się światła. Sama myśl o tym wzbudziła we mnie uczucie silnego niepokoju i poczułem się, jakbym wpadł w pułapkę.

– Na co patrzysz?

Leżała na kanapie. Spódnica i czarny sweter zwisały z niskiego stolika.

– Czekam na *bateau-mouche* – odpowiedziałem.

Uchyliłem okno. Boulevard Conti był chwilowo pusty. Samochody stały na czerwonym świetle na wysokości Pont-Neuf. Przez moment panowała zupełna cisza, zapewne taka sama jak w czasie okupacji, gdy mój ojciec wsłuchiwał się w nią wieczorami, stojąc przy tym samym oknie.

W owym czasie w kawiarni naprzeciwno nie paliło się światło i kolumnada Luwru była pogrążona w całkowitej ciemności.

Obecna sytuacja miała tę zaletę, że wiadomo było, gdzie czai się niebezpieczeństwo: wśród tych światel po drugiej stronie Sekwany.

– Muszę iść na to spotkanie.

Spojrzałem na zegarek. Była za piętnaście dziesiąta.

Usiadła na brzegu kanapy. Ujęła twarz w dłonie.

– Musisz tam iść?

– Jeśli nie pójdę, ten facet nie da mi spokoju...
Lepiej mieć go już z głowy.

Powtórzyłem raz jeszcze, że chodzi o dawnego współnika mojego ojca. Miałem ochotę wyznać jej prawdę, ale w porę się powstrzymałem. Wołała iść ze mną, niż czekać samotnie w mieszkaniu. Wzięliśmy psa. Sądziła, że pójdziemy piechotą przez Pont-des-Arts. Uznałem, że lepiej będzie pojechać samochodem.

Gdy wjeżdżaliśmy na Pont du Carrousel, omal nie poprosiłem jej, by ruszyła prosto przed siebie wzdłuż bulwarów. W miarę jak zbliżaliśmy się do kawiarni, wracał mi zdrowy rozsądek. Czuję się gotowy na to spotkanie. Chciałem czym prędzej ujrzeć twarz tego człowieka.

Zatrzymaliśmy się na rogu bulwaru i rue du Louvre, tuż przed wejściem do kawiarni. Na tarasie siedział jeden jedyny gość. Czytał leżącą na stoliku gazetę i nie zwrócił uwagi na nasz samochód. Czuję, że dłoń Gisèle zaciska się na moim ramieniu. Wpatrywała się w mężczyznę z otwartymi ustami. Była śmiertelnie blada.

– Nie idź tam, Jean... błagam cię.

Byłem zaskoczony. Po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu. Przytrzymała mnie za ramię.

– Dlaczego? Znasz go?

Nadal czytał gazetę w świetle neonu. Nim odwrócił stronę, poślinił wskazujący palec.

– Jeśli tam pójdziesz, będziemy zgubieni... Miałam już z nim do czynienia...

Na jej twarzy malowało się przerażenie. Ale ja byłem spokojny. Poglądziłem delikatnie jej czoło

i usta. Miałem ochotę ją całować i szeptać uspokajające słowa, ale powiedziałem po prostu:

– Nie bój się... Ten facet NIC NAM NIE MOŻE ZROBIĆ...

Próbowała mnie jeszcze powstrzymać, ale już otworzyłem drzwi i wysiadłem z samochodu.

– Zaczekaj tu na mnie... A jeśli to będzie trwało zbyt długo, wracaj do domu.

Po raz pierwszy w życiu czułem się pewny siebie. Moja nieśmiałość, moje nieustanne wątpliwości, zwyczaj przeproszania za wszystko, obwiniania się, przyznawania racji innym, wszystko to ze mnie opadło niczym zużyta powłoka. Byłem pogrążony w jednym z tych snów, w których unika się niebezpieczeństw i kłopotów, bo zna się przyszłość i jest się odpornym na ciosy. Pchnąłem oszklone drzwi. Uniósł głowę znad gazety. Mógł mieć około czterdziestki. Szatyn z łysiną w kształcie tonsury. Miał na sobie jasnobrązowy płaszcz.

Stałem przed nim.

– Pan Guélin, jak przypuszczam?

Przyjrzał mi się chłodnym wzrokiem, jakby próbował ocenić, ile mi się należy za dobrowolne stawienie się.

– W środku będzie nam wygodniej...

Głos brzmiał bardziej metalicznie niż przez telefon. Gdy stał w tym swoim płaszczu, barczysty i przysadzisty, łysawy, o brutalnych rysach, przypominał rugbystę.

Usiedliśmy przy stoliku w głębi, ja na krześle, on na siedzeniu obitym czerwonym moleskinem. Byliśmy jedynymi gośćmi prócz mężczyzny w wyjściowym garniturze stojącego przy kontuarze, gdzie sprzedaje się papierosy. Ale nie zwracał na nas uwagi.

Oparł się rozstawionymi łokciami o stół i z lekko uniesioną brodą wpatrywał się we mnie chłodnym wzrokiem.

– Dobrze pan zrobił przychodząc... w przeciwnym razie pańska sytuacja znacznie by się skomplikowała...

Próbował zmusić mnie, bym spuścił oczy. Ale nie udawało mu się. Przeciwnie, chcąc mu zrobić na przekór, przybliżyłem twarz do jego twarzy.

– Wczoraj po południu w Neuilly doszło do bardzo poważnych wydarzeń... Rozumie pan, co mam na myśli?

– Nie.

– Naprawdę? Jest pan inteligentnym chłopcem i lepiej, jeśli będzie pan rozmawiał ze mną szczerze...

Nie spuszczałem oczu, a nasze twarze były tak blisko, że niemal stykaliśmy się czołami. Pachniało od niego anyżówką.

– Przede wszystkim jest pan nieletni... A pańska narzeczona od pewnego czasu się prostytuuje...

Powiedział to obojętnym tonem, ale najwyraźniej śledził moją reakcję.

Zmusiłem się do uśmiechu, tak szerokiego, że musiał przypominać grymas.

– Bywa w mieszkaniu pod numerem 34, na rue Desaix... Dobrze znam to miejsce i jego właścicielkę... a także większość klientów... Pan również, jak sądzę?

Przypomniałem sobie tę noc, gdy wyczekiwałem na nią, spacerując w tę i z powrotem od wiaduktu naziemnego metra do nie kończącego się muru koszar Dupleix. Widziałem, jak wychodzi z jednej z bram i idzie w moją stronę.

– Przypuszczam, że zna pan również męża swojej narzeczonej?

– Te sprawy mnie nie interesują, proszę pana.

Przybrałem ton rozmarzony, jak gdyby nieobecny.

– Owszem, interesują pana. I wyjaśni mi pan szczegółowo, co zaszło wczoraj po południu.

Złożona gazeta wystawała z kieszeni płaszcza. Parę minut temu prosiłem Gisèle, żeby mi kupiła wieczorne wydanie tej samej gazety, ale widocznie zapomniała.

– Nic nie zaszło wczoraj po południu.

Odsunąłem twarz, żeby nie czuć anyżkowego oddechu mojego rozmówcy. Oparłem się na krzesło.

– Nic? Pan chyba żartuje...

Skrzyżował ręce.

Nie mogłem oderwać wzroku od gazety tkwiącej w jego kieszeni. Pewnie za chwilę ją rozłoży i pokaże mi fotografię mężczyzny, który wsiadł wczoraj do samochodu Añsarta, i powie mi, że jego ciało wyłowiono z wody pod mostem Puteaux. Myśl o tym nie robiła na mnie żadnego wrażenia. Dopiero później, około trzydziestki, zacząłem odczuwać lekkie wyrzuty sumienia, rozmyślając o pewnych epizodach z mojej przeszłości, podobnie jak ekwilibrysta, który dostaje spóźnionych zawrotów głowy po przekroczeniu otchłani na linie.

– Zabieram pana do moich przyjaciół. I jeśli nie chce pan mieć poważnych nieprzyjemności, to radzę wszystko nam szczegółowo opowiedzieć...

Powiedział to tonem nie znoszącym sprzeciwu, nie spuszczać ze mnie wzroku. Czułem, że tracę grunt, więc żeby dodać sobie odwagi, spytałem:

– A kim pan właściwie jest?

– Jestem bliskim znajomym pana Samsona.

Co chciał przez to powiedzieć? Że pracuje w policji?

– Kto to jest bliski znajomy?

Był zakłopotany moim pytaniem. Opanował się jednak.

– To ktoś, kto może pana odstawić za chwilę do aresztu.

W tym momencie zaszło coś przedziwnego: nie spuściłem oczu, a facet stracił kontenans. Przywodził mi na myśl osobników oczekujących na mojego ojca w hotelowych halach i kawiarniach takich jak ta. Często mu towarzyszyłem. Miałem czternaście lat, ale uważnie obserwowałem tych ludzi w świetle neonów. Nawet i najbardziej elegancki spośród nich, na pierwszy rzut oka wzbudzający szacunek, prędzej czy później zaczynał się wydzieierać niczym wędrowny kramarz.

– Troszczy się pan o moją edukację?

Zdawał się wytrącony z równowagi:

– Za chwilę przestanie pan udawać spryciarza.

Ale było już za późno. Już oddalił się w czasie, dołączając do grona wszystkich statystów i nędznych rekwizytów minionego okresu mojego życia: Grableya, natapirowanej blondynki, „La Tomate”, pozbawionego mebli mieszkania, starego granatowego płaszcza niknącego w tłumie na Gare de Lyon...

– Do widzenia panu.

Byłem na ulicy. Czekala na mnie na niewielkim placu. Pomachała mi ręką. Zaparkowała samochód w cieniu kościoła Saint-Germain-l'Auxerrois.

*

– Bałam się, że cię zabierze...

Jej dłoń drżała. Musiała kilkakrotnie obrócić klucz w stacyjce, zanim zapaliła.

– Niepotrzebnie się bałaś – powiedziałem.

– Siedział w gabinecie, gdy tamten drugi mnie przesłuchiwał. Ale spotkałam go już wcześniej... Nic ci o mnie nie mówił?

– Nie. Nic.

Jechaliśmy rue de Rivoli. Powróciło uczucie euforii. Jeśli będziemy nadal jechać wzdłuż tych arkad oświetlonych latarniami aż po horyzont, to

dojedziemy do wielkiego placu nad brzegiem morza. Już czułem przez opuszczoną szybę zapach morskiej bryzy.

– Możesz przysiąc, że nic ci o mnie nie mówił?

– Przysięgam.

To, co mówił, nie miało już żadnego znaczenia: więzienie Petite-Roquette, ulica Desaix pod numerem 34 i popołudnie w Neuilly, gdzie „doszło do bardzo poważnych wydarzeń”. Wszystko to było już poza mną... Zrobiłem skok w przyszłość.

– Lepiej nie nocować dzisiaj w mieszkaniu.

Powtarzałem jej bez końca, że niczym nie ryzykujemy, ale wciąż sprawiała wrażenie wylęknionej i była tak zdenerwowana, że w końcu powiedziałem:

– Pójdziemy, dokąd zechcesz...

Ścisnęło mi się serce, gdy widziałem ją uwięzioną wśród tych cieni i zdarzeń, które dla mnie były już przeszłością. Tak jakbym wypłynął na pełne wody i patrzył, jak pozostaje w tyle, walcząc z prądem.

*

Wróciliśmy do mieszkania przy boulevard Conti po walizki. Czekwała na mnie przy schodach prowadzących na piąte piętro. W chwili gdy otwierałem drzwi do schowka, zadzwonił telefon. Stała jak sparaliżowana, wpatrując się we mnie.

– Nie podnoś słuchawki.

Zszedłem po schodach z dwiema walizkami i wszedłem do gabinetu. Telefon nadal dzwonił. Po omacku szukałem aparatu:

– Halo...

Cisza.

– Jest pan jeszcze w kawiarni, panie Guélin?
– zapytałem.

Żadnej odpowiedzi. Zdawało mi się, że słyszę jego oddech. Wyjęła mi z rąk słuchawkę. Staliśmy

przy oknie. Nie mogłem się powstrzymać i spoj-
rzałem w stronę kawiarni po drugiej stronie Sek-
wany. Światła były zgaszone. Powiedziałem:

– Wszystko gra, łysy?

Oddech, przypominający szelest liści na wietrze.
Prosiła, żebym odłożył słuchawkę, ścisła ją
w dłoni z całej siły, próbując mi ją wyrwać, ale nie
dała rady. Trzymałem ją przyklejoną do ucha.
Pewnego wieczoru, w tym samym miejscu i o tej
samej porze podczas okupacji, mój ojciec odebrał
podobny telefon. Nikt nie odpowiadał. Dzwonił
z pewnością taki sam człowiek jak ten, łysiejący
szatyn w jasnobrązowym płaszczu należący do
szużb specjalnych zajmujących się tropieniem
ukrywających się Żydów.

· Szczęk odkładanej słuchawki.

– Musimy natychmiast stąd wyjść – powiedziała.

Niosła jedną z walizek, tę lżejszą. Przeszliśmy
przez korytarz. Gdy wychodziliśmy z mieszkania,
postawiłem na ziemi tę drugą walizkę i powiedzia-
łem:

– Zaczekaj. Zaraz wracam...

Wbiegłem po schodach i z pokoju na piątym
piętrze zabrałem kilka książek, które stały na
półce między oknami, wśród nich – *Aux âmes
sensibles*.

Ułożyłem je w kupkę na prześcieradle, które zwią-
załem w węzełek. Te książki leżały na półce, jeszcze
zanim mój ojciec wprowadził się do mieszkania. Wi-
docznie zapomniał o nich poprzedni lokator, autor
Polowania z nagonką. Niektóre z nich były podpisane
tajemniczym nazwiskiem François Vernet.

Gdy zszedłem na dół z moim zaimprovizowa-
nym bagażem, czekała na półpiętrze. Trzasnąłem
drzwiami i odniosłem wrażenie, że opuszczam to
mieszkanie na zawsze. Pewnie z powodu książek,
które zabrałem ze sobą.

Tym razem zostawiliśmy psa w samochodzie. Na nasz widok rozszczękał się radośnie. Ułożyliśmy walizki i węzełek w bagażniku.

– Dokąd jedziemy? – spytałem.

– Do hotelu, w którym wynajęłam pokój.

Pomyślałem o nocnym portierze, o jego kwadratowej szczęce i wąskich ustach, i pogardliwym spojrzeniu, jakim nam się wtedy przyglądał. Już się go nie bałem.

Ona widocznie też nie, bo powiedziała:

– Powinniśmy byli dać mu trochę pieniędzy, to przyknąłby oko.

Odwrociłem się do niej.

– Czy masz jakieś pieniądze na podróż do Rzymu?

– Tak. Odłożyłam trzydzieści tysięcy franków.

Z pieniędzmi od Dell’Aversana i tymi od Ansarta mieliśmy razem czterdzieści tysięcy franków.

– Połowę mam w walizce, a połowę schowałam w domu w Saint-Leu-la-Forêt. Będę musiała po nie jutro pojechać.

Nie miałem odwagi pytać o pochodzenie tych pieniędzy. Może były to oszczędności jej męża? A może to, co zarobiła na ulicy Desaix pod numerem 34, w mieszkaniu, o którym wspomniał mi przed chwilą ten facet? Teraz to już nie miało znaczenia. Należało do przeszłości. Pewnego wiosennego wieczoru w Rzymie rozpoczniemy prawdziwe życie. Zapomnimy o latach młodości, a nawet o tym, jak nazywali się nasi rodzice.

Jechaliśmy wzdłuż bulwarów. Ciemna fasada Gare d’Orsay z zardzewiałymi daszkami nie osłaniającymi niczego. I hotel w tym samym budynku. Staliśmy na czerwonym świetle. Widziałem wejście i hotelową recepcję.

Zapytała:

– Chcesz, żebyśmy wynajęli tu pokój?

Bylibyśmy jedynymi gośćmi tego hotelu, który z zewnątrz zlewał się w jedno z nieczynną stacją.

Czasami śni mi się, że stoję z nią w hallu recepcji. Nocny portier nosi uniform zawiadowcy. Wręcza nam klucze. Winda nie działa, więc wchodzimy po marmurowych schodach na pierwsze piętro, gdzie na próżno próbujemy odszukać nasz pokój. Przechodzimy przez wielką, ciemną jadalnię i gubimy się w labiryncie korytarzy. Wreszcie trafiamy do dawnej poczekalni dworcowej oświetlonej nagą żarówką zwisającą u sufitu. Siadamy na jedynej ławce, jaka tu pozostała. Stacja jest wprawdzie nieczynna, ale nigdy nic nie wiadomo: pociąg do Rzymu może tędy przejeżdżać przez pomyłkę i stanąć na kilka sekund, które wystarczą, by wsiąść do wagonu.

*

Zaparkowaliśmy samochód na rogu avenue de Suffren i wąskiej uliczki koło hotelu. Niosłem obydwie walizki, a ona węzełek z książkami. Pies spuszczonej ze smyczy biegł przed nami.

Tym razem drzwi nie były zamknięte. Ten sam nocny portier stał za biurkiem w recepcji. Początkowo nas nie rozpoznał. Spojrzał nieufnie na nasz węzełek z prześcieradła oraz na psa.

– Chcielibyśmy wynająć pokój – powiedziała Gisèle.

– Nie wynajmujemy na jedną noc – odpowiedział portier lodowatym tonem.

– W takim razie na dwa tygodnie – powiedziałem słodko. – I płacę gotówką.

Z kieszeni płaszcza wyjąłem zwitek banknotów od Dell'Aversana. Portier wyraźnie się ożywił.

– Doliczam pół ceny za psa – oznajmił.

Wtedy mnie rozpoznał. Spojrzał na mnie okiem krupiera.

– Już pan tu kiedyś był... Jest pan bratem tej pani... tylko trzeba mi to udowodnić...

Wsunąłem kilka setek do przedniej kieszeni jego marynarki. Wzrok mu złagodniał.

– Dziękuję panu.

Odwrócił się i sięgnął po klucz do jednej z przegródek.

– Pokój numer 3 dla pana i pańskiej siostry...

– Okazywał nam teraz zawodową kurtuazję. – To na pierwszym piętrze. – Wręczył mi klucz i nachylił się do nas. – Proszę się nie pomylić... Hotel zajmuje jedynie pierwsze piętro tego budynku. Reszta to umeblowane mieszkania do wynajęcia. – Uśmiechnął się. – To trochę niezgodne z przepisami... Ale wiele rzeczy w życiu robi się wbrew przepisom, prawda?

Wzięłem klucz, zwyczajny metalowy klucz, który wcale nie sprawiał wrażenia klucza hotelowego.

– Niestety nie będę mógł wystawić państwu rachunku.

Wyglądał na szczerze zmartwionego.

– Proszę się tym nie przejmować – powiedziałem. – Tak nawet będzie lepiej.

Weszliśmy po schodach wyłożonych zniszczonym czerwonym chodnikiem. Drzwi do pokoiów znajdowały się po obydwu stronach korytarza. Na każdym widniał numer wymalowany ołówkiem. Weszliśmy do pokoju oznaczonego trójką. Był wysoki i przestronny. Okna wychodziły na ulicę. Szerokie łóżko zasłano błękitną pościelą i nakryto kapą w szkocką kratę. Małeńkie schodki z białego drewna prowadziły na antresolę. Pies ułożył się na podłodze przy łóżku.

– Możemy tu mieszkać aż do naszego wyjazdu – powiedziała Gisèle.

Oczywiście. Przeczekamy tutaj niczym pasażerowie w hali tranzytu na lotnisku w oczekiwaniu na odlot. Zostaniemy w tym pokoju i w tym łóżku. Wyobraziłem sobie mężczyznę w jasnobrązowym płaszczu, jak dzwoni do drzwi mieszkania przy boulevard Conti. Przychodzi po nas wczesnym rankiem, tak samo jak przychodził po mojego ojca przed dwudziestu laty i jak będzie przychodził przez całą wieczność. Ale nigdy nas nie dostanie.

– O czym myślisz? – spytała.

– O Rzymie.

Zgasiła nocną lampkę. Leżeliśmy w łóżku. Nie zaciągnęliśmy zasłon. Wsłuchiwałem się w dźwięk głosów i trzask drzwiczek w warsztacie samochodowym naprzeciwko. Odblask neonu padał wprost na nas. Wkrótce wszystko ucichło. Czuję jej usta na moich skroniach i w zagłębieniu ucha. Pyta cichutko, czy ją kocham.

Nazajutrz wstaliśmy około dziesiątej. W recepcji nie było nikogo.

Zjedliśmy śniadanie przy rue du Laos, w kawiarni o tej samej nazwie.

Powiedziała, że zaraz pojedzie po resztę pieniędzy do Saint-Leu-la-Forêt i ma nadzieję, iż „nie będzie z tym większych problemów”. Była wprawdzie narażona na spotkanie z mężem i pozostałymi mieszkańcami domu, ale co to ma teraz za znaczenie? Nie musiała się nikomu tłumaczyć.

Zaproponowałem, że będę jej towarzyszył, ale oświadczyła, że lepiej, jeśli pojedzie tam sama.

– Zadzwoń do ciebie o pierwszej, jeśli będziesz mi potrzebny.

Wróciliśmy do hotelu, żeby mogła zanotować numer telefonu. Portiera nadal nie było, ale na kontuarze znaleźliśmy stos beżowych karteczek z napisem: Hotel-pensjonat „Ségur” – umeblowane mieszkania do wynajęcia, 7 bis rue de la Cavalerie (15^e) SUFFREN 75-55. Wsunęła jedną z nich do kieszeni prochowca.

Szliśmy w kierunku samochodu. Wzięła mnie pod ramię. Chciała zabrać ze sobą psa. Usiadła za kierownicą. Pies ułożył się na tylnym siedzeniu.

Szybko znalazłem pretekst, żeby jeszcze przez chwilę z nią zostać. Czy mogłaby mnie podrzucić do kiosku z gazetami?

Jechała avenue de Suffren w kierunku Sekwany. Stała przy pierwszym napotkanym kiosku.

– No to na razie.

Przesunęła się w stronę opuszczonej szyby i pomachała mi ręką na pożegnanie.

*

Wsadziłem gazetę do kieszeni. Skręciłem w pierwszą ulicę na lewo i siedłem nią aż do placu, pośrodku którego ciągnął się duży skwer. Był tam kiosk z płytami. Usiadłem na ławce obok kiosku, żeby przeczytać gazetę. Miałem przed sobą fasadę koszar Duplex.

Było słonecznie i bezchmurnie. Na sąsiedniej ławce siedziała brunetka lat około trzydziestu i nie spuszczała oka z chłopczyka na rowerze. Zaskoczył mnie narastający stukot końskich kopyt. Grupa jeźdźców w wojskowych mundurach wjeżdżała stępą do koszar. Przypomniałem sobie, że w niedzielne poranki mojego dzieciństwa słyszałem taki sam stukot kopyt, gdy bulwarem przejeżdżał orszak Gwardii Republikańskiej.

Na stronie „Wydarzenia różne” nie znalazłem fotografii mężczyzny, który wsiadł do samochodu w niedzielę po południu. Ani słowa o Ansarcie, Jacques’u de Bavière czy Martine Gaul.

Przypomniałem sobie, że któreś z poprzednich nocy byliśmy w pobliżu, i postanowiłem dojechać do ulicy Desaix, nie wiedząc dokładnie, gdzie to jest. Ale wystarczyło iść wzdłuż muru koszar. Rozpoznałem budynek pod numerem 34. Tak, to właśnie tu na nią czekałem. Z lewej strony wiadukt naziemnego metra przysłał widok ulicy. Na którym piętrze było to mieszkanie?

Wróciłem tą samą drogą na skwer przed koszarami. Doszedłem do avenue de Suffren i małej uliczki koło hotelu.

W recepcji nadal nie było nikogo. Telefon stał na drewnianej półce pod przegródkami na klucze. Dochodziła pierwsza. Oparłem się łokciami o kon-tuar. Pierwsza piętnaście. Telefon milczał. Pod-niosłem słuchawkę, żeby sprawdzić, czy działa, i usłyszałem ciągły sygnał.

Umówiliśmy się około drugiej w kawiarni przy rue du Laos. Nie chciało mi się wracać do pokoju. Poszedłem avenue de Suffren. Po przeciwnej stro-nie ulicy ciągnęły się dawne zabudowania Ecole militaire. I rzędy platanów. Nie zobaczymy na wiosnę ich liści, bo przecież będziemy już w Rzy-mie.

Idąc, odnosiłem wrażenie, że jestem w obcym mieście i staję się kimś innym. To, co przeżyłem w dzieciństwie i później aż do mojego spotkania z Gisèle, powoli odrywało się ode mnie, rozplywa-ło do tego stopnia, że chwilami czyniłem wysił-ki, by zachować bodaj kilka okruchów, nim się do reszty rozproszą: lata szkoły, sylwetkę ojca w granatowym płaszczu, moją matkę, Grableya, odbłask światła *bateau-mouche* na suficie sy-pialni...

Za dziesięć drugą zjawiłem się w kawiarni przy rue du Laos. Gisèle jeszcze nie było. Chciałem kupić jej bukiet róż w kwiaciarni naprzeciwko, ale nie miałem przy sobie pieniędzy. Poszedłem do hotelu. Gdy wszedłem, nocny potier stał za biur-kiem w recepcji. Spojrzał na mnie i poczerwieniał na twarzy.

– Proszę pana...

Nie znajdował słów, ale ja je odgadłem, zanim je jeszcze usłyszałem. Pańska przyjaciółka. Wypa-dek. Tuż za mostem Suresnes. Znaleziono wizy-

tówkę hotelu w kieszeni prochowca i zadzwoniono tutaj.

Wyszedłem jak automat. Na zewnątrz wszystko zdawało się lekkie, jasne i obojętne – niczym zimny błękit styczniowego nieba.

**Zapraszamy
do firmowych punktów sprzedaży
w Warszawie:**

Księgarnia, ul. Foksal 17, godz. 10.00 – 18.00
tel. 26 02 01 (do 5) w. 204, 266

Magazyn hurtowy, al. Prymasa Tysiąclecia 83
godz. 8.00 – 15.00, tel. 632 46 11 w. 291, 226

Magazyn hurtowy, ul. Kolejowa 8/10, godz. 8.00 – 15.00

Oferujemy sprzedaż hurtową i detaliczną

**Prowadzimy sprzedaż wysyłkową przez
KLUB DOBREJ KSIĄŻKI**

**Przyjmujemy zamówienia
telefoniczne i pisemne**

Dział Sprzedaży i Dystrybucji, al. Prymasa Tysiąclecia 83
godz. 8.00 – 15.30, tel./fax 632 67 01

Klub Dobrej Książki, tel. 632 46 11 w. 291

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa

tel. 26 02 01 (do 5)

tx 81 43 06 PIW

fax 26 15 36



Patrick Modiano (ur. 1945), pisarz francuski średniego pokolenia, znany jest w Polsce jako autor *Ulicy ciemnych sklepików*, książki wyróżnionej w 1978 r. Nagrodą Goncourtów, powieści *Nawroty nocy*, książeczki dla młodzieży *Katarzyna* i powieści *Zagubiona dzielnica*.

Przejechał cyrk to kolejna powieść Modiano; autor wprowadza czytelnika w swój specyficzny świat, w którym panuje klimat sensacji, tajemniczości, niedopowiedzeń, pytań pozostających bez odpowiedzi, świat, w którym przeszłość miesza się z przyszłością, a jawa ze snem...